

Rok XXVIII

Nr e-94 (290)

Sierpień 2014

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Z NASZEGO REGIONU

Bardo – miasto turystyczne	<i>Joanna Kuśnierz</i>	3
Kaplica Hochbergów	<i>Jerzy Maciejewski</i>	5
Ćwierć wieku „Kuriera Kowarskiego”	<i>Zbigniew Piepiora</i>	6
Poznajmy polskie wulkany	<i>LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”</i> ...	8
Norweski Kościół pod Śnieżką	<i>Tomasz Kowalik</i>	8

OJCZyste SZLAKI

Czas szczególny i wspaniały (8)	<i>Kazimierz Denek</i>	11
Sierpniowa rocznica	<i>Andrzej Rumiński</i>	13
Wakacje w Beskidzie Żywieckim	<i>Juliusz Wysłouch</i>	14

TRASA MIESIĄCA

Krótko przez Długą	<i>Bartosz Skowroński</i>	16
--------------------------	---------------------------------	----

GLOBTROTER

Politechnika Kijowska	<i>Janusz Fuksa</i>	19
Połock – na kresach (Biało)Rusi	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	21

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Wieczorna Walońska Włóczęga	<i>Krzysztof Tęcza</i>	24
Thermal Park Sirava	<i>Ján Bošnovič</i>	25
Zebrańie redakcji „Karkonoszy”	<i>Krzysztof Tęcza</i>	26
Mijające krajobrazy Lubania 2014	<i>Krzysztof Tęcza</i>	27

PORADNIK TURYSTY

Rysy w głównej roli	<i>Juliusz Wysłouch</i>	28
---------------------------	-------------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Nie dla zwolenników teorii kreacjonizmu!	<i>Sobiesław Mazurski</i>	30
--	---------------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Ciocia Frieda (2)	<i>Bettina Harnischfeger</i>	31
Architekt Horodecki (2)	<i>Janusz Fuksa</i>	33

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Im dalej w park, tym mniej drzew	<i>Piotr Mikołajczak</i>	36
--	--------------------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

„Damsko-męski przewodnik po Wrocławiu”	<i>Andrzej Rumiński</i>	37
Wędrujący Wielkopole	<i>Jerzy Osypiuk</i>	37
Utracone Sudety	<i>Witold Papierniak</i>	39
Poznać dolnośląską georóżnorodność	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	40

Na okładce: Chęciny. Fot. Piotr Dacko

Bardo – miasto turystyczne

Bardo to niewielkie, niespełna trzytysięczne miasteczko w południowej części woj. dolnośląskiego, położone malowniczo w miejscu, gdzie Nysa Kłodzka przebija się przełomem przez Góry Bardzkie. Zapierające dech w piersiach widoki, gęsta sieć szlaków turystycznych, ścieżek rowerowych, zespół obiektów pocysterskich oraz dominująca nad miastem i jego historią barokowa Bazylika Mniejsza sprawiają, że miejsce to, łączące tradycyjne funkcje pielgrzymkowe z walorami górskiej miejscowości turystycznej, posiada wszelkie atuty, aby stać się ośrodkiem turystyki aktywnej, kulturowej i pielgrzymkowej dla Dolnego Śląska i nie tylko.

Głównym dochodem mieszkańców gminy i miasta Bardo od lat była wyłącznie świetnie prosperująca w latach 80. i 90. wytwórnia papierów *Bardeckie Zakłady Papiernicze*. Przez wiele lat dawała zatrudnienie rzeszom mieszkańców i kreowała ich sytuację finansową, poziom życia i pogląd na działanie gospodarki. Pod koniec XIX w. powstała tu mała wytwórnia opakowań tekturowych Józefa Peppe, która słynna w Polsce była głównie z produkcji pszczelich uli. Przez kolejne lata produkowała papier, tekturę, chusteczki i wiele innych wyrobów papierniczych. Mieszkańcom, poza stałym i pewnym zatrudnieniem, dawała wiele innych atrakcyjnych perspektyw, m.in. zapewniała działki budowlane dla pracowników, gdzie po latach powstało willowe osiedle jednorodzinnych domków. Fabryka zainicjowała budowę osiedla bloków wielorodzinnych w wyżej położonych częściach miasta. BZP (dziś już nieistniejące) były ważnym aspektem życia lokalnego gminy, dając perspektywy i wiele możliwości mieszkańcom.

Ważnym epizodem w historii miasta było rozpoczęcie budowy trasy międzynarodowej nr 8 łączącej Wrocław z Pragą. Tak małe miasteczko mogło tylko na tym skorzystać. Jednoczesna budowa połączenia kolejowego Wrocław – Międzyzlesie tylko wspomogło to zjawisko. Bardo stało się częścią ogólnopolskiej infrastruktury, co zaowocowało ilością zarówno przejezdnych turystów, jak i przedsiębiorców. Mieszkańcy, poza oczywiście dogodnymi warunkami komunikacyjnymi, mogli być dumni z tego, że ich miasto leży w takim miejscu i ma szansę zaistnieć pośród wielu miejscowości

sudeckich. Warto wspomnieć, że specjalnie na potrzeby budowy trasy numer 8 został w Bardzie wybudowany hotel pracowniczy w malowniczej części miasta, przy ul. Grunwaldzkiej, biegnącej wzdłuż rzeki. Po latach obiekt przekształcony został w znany dom wczasowy, a zwiększając potencjał turystyczny miasta daje zatrudnienie wielu ludziom z miasta.

Aspektem gospodarki i kultury, którego nie można pominąć, jest główny kierunek jego rozwoju, za który uznaje się turystykę i ruch pielgrzymkowy. Bardo w przeszłości było jednym z ważniejszych ośrodków kultu na mapie Polski. Wynika to z jego przeszłości historycznej i wielu miejsc kultu maryjnego i budynków sakralnych w mieście. Należą do nich przede wszystkim kościół Nawiedzenie i Wniebowzięcia NMP, podniesiony w 2009 r. przez papieża do rangi Bazyliki Mniejszej, kaplica



Przyklasztorne Muzeum Sztuki Sakralnej



Słynna Rodzina Pańska Ignacego Klara

wojnie światowej. Wiele osób odwiedzających i pielgrzymujących krótko komentuje: „To miasto ma pewien niepowtarzalny klimat”. Mimo wszystko życie mieszkańców na co dzień nie różni się od życia innych ludzi, wygląda podobnie. Jednak czynników wpływających na dzisiejszą kulturę mieszkańców, gospodarkę miasta było wiele.

Bardo już od XIII w. jest ważnym miejscem pielgrzymkowym - do cudownej figurki MB Bardzkiej - najstarszej drewnianej rzeźby na Śląsku, do której pielgrzymowali przez wieki pątnicy z Czech i Śląska. W XVIII w. odprawiano tu rocznie 4000 fundowanych mszy! Ogromna świątynia, w której znajduje się figurka, powstała w latach 1686-1704. Swoją przepiękną wystój zawdzięcza znanym na Śląsku barokowym artystom.

Szczególnie wart zobaczenia jest prospekt organowy, dzieło rzeźbiarza Heinricha Hartmanna i ołtarz główny, dzieło Mikołaja Richtera, z obrazem Michała Willmanna oraz figurką MB Bardzkiej. Bardo ze swoim zespołem klasztornym jest jednym z ważniejszych punktów na Szlaku Cysterskim. Podobnie jak w innych klasztorach Śląska cystersi prowadzili tu działalność aż do czasu sekularyzacji.

Dzięki dobremu położeniu miasta można wybrać się na wędrowki piesze i rowerowe po Górach Bardzkich i Przedgórzu Sudeckim. Trasa EV-9 Euro-Velo BAŁTYK-ADRIATYK stanowi część europejskiej sieci tras rowerowych Euro-Velo, tworzonej przez Europejską Federację Cyklistów w całej Europie. Przez Polskę przebiega pięć tras tego systemu. Trasa o całkowitej długości 1930 km łączy Gdańsk, Poznań, Wrocław, Ołomuniec, Brno, Wiedeń, Triest i Pule. Na Dolnym Śląsku trasa przebiega z północy na południe, kolejno przez Sulów, Trzebnicę, Wrocław, Kąty Wrocławskie, Mietków, Świdnicę, Pieszycę, Srebrną Górę, Brzeźnicę, Potworów, Przyłek, Kamieniec Żąbkowicki. Istotnym walorem trasy jest rowerowe powiązanie Wrocławia z Wiedniem.

Głównymi hasłami używanymi przez dział promocji w Urzędzie Miasta i Gminy Bardo są: „Miasto cudów, Miasto na szlaku cysterskim, Złote wrota Ziemi Kłodzkiej”.

Joanna Kuśnierz

Fot. Krzysztof R. Mazurski



Stary most

Kaplica Hochbergów

Po raz pierwszy po 68 latach można było 5 lipca ub. r. odwiedzić kaplicę Hochbergów we wrocławskim kościele św. Wincentego. Renowacja tego bezcennego zabytku trwała od 2000 r. i była możliwa dzięki funduszom Unii Europejskiej. Kaplica została zniszczona w Wielkanoc 1945 r. w czasie dywanowego bombardowania twierdzy Festung Breslau przez wojska radzieckie. Bomba zniszczyła ją do samych fundamentów. Szczególnie mocno uszkodzona została część północna kaplicy. Po wojnie obiekt wstępnie zabezpieczono, odbudowano zniszczone partie murów i sklepień, w latach 60. odnowiono elewacje, a od lat 90. prowadzone były prace remontowo-budowlane oraz konserwatorskie i restauratorskie przy elementach wystroju wnętrza.

Kaplicę tę, p.w. Siedmiu Boleści Marii, dostawiono od południa do gotyckiego kościoła klasztorного na miejscu rozebranej wcześniejszej gotyckiej kaplicy. Stanowiła ona kolejny etap barokizacji przeprowadzanej w kościele św. Wincentego. Obiekt wzniesiono w latach 1723-28 według planów wciąż spornego autorstwa. Wiąże się je z osobą wykonawcy – budowniczego Kamery cesarskiej i miejskiego architekta Christophera Hacknera. Warto też wspomnieć, że kościół św. Wincentego był mauzoleum śląskiego księcia Henryka II Pobożnego, którego krypta znajduje się pod ołtarzem, a sarkofag w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Kaplica jest budowlą wzniesioną na planie podłużnym. Dolna kondygnacja przekryta jest dwoma półkopułami, a część środkowa kopułą na planie elipsy, ustawioną na wysokim tamburze poprzecznie do wzdłużnej osi korpusu. Wnętrze posiada bogaty wystrój malarsko-sztukatorski. Wejściu od strony nawy połu-



dniowej kościoła, w ścianie północnej kaplicy, nadano postać stiukowego portalu z ozdobną kratą. Dekoracja plastyczna wzbogacona została złoceniami. Malaturę skoncentrowano w strefie sklepiennej i wykonano w apsydzie południowej (ołtarzowej) i północnej oraz w kopule. Tematyka fresków była związana z wezwaniem kaplicy i koncentrowała się wokół Siedmiu Boleści Marii, a dopełniały ją ukazane w kopule anioły i putta z *Arma Christi*.

Jerzy Maciejewski

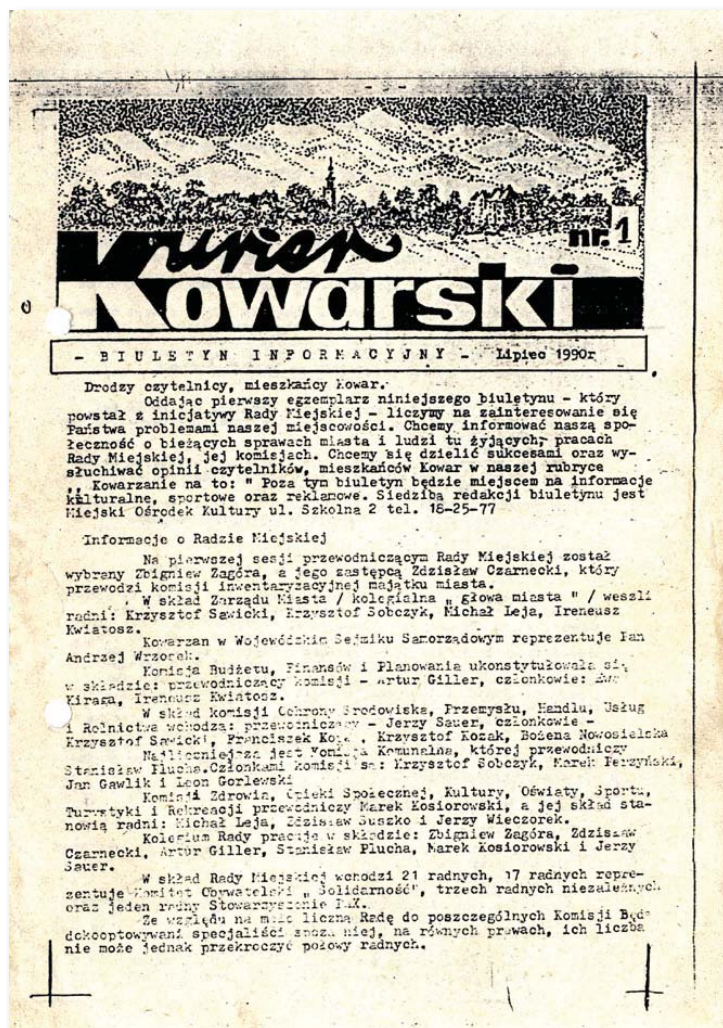
Ćwierć wieku „Kuriera Kowarskiego”

Czas Jubileuszu 500-lecia otrzymania przez Kowary praw miejskich, który zbiegł się z dwudziestolecie istnienia „Stowarzyszenia Miłośników Kowar”, był okresem podsumowań. W związku z tym pokusiłem się o krótkie przypomnienie 25-letniej historii „Kuriera Kowarskiego” (w skrócie: KK).

Jego pierwszy numer ukazał się w lipcu 1990 r. jako biuletyn informacyjny. Powstał przy współudziale Ewy Kiragi, Jadwigi Nalichowskiej, Zdzisława Czarneckiego, Marka Perzyńskiego, Andrzeja Walczaka. Winiętę tytułową i szkic wykonał Julian Przewłocki. Siedziba redakcji mieściła się w Miejskim Ośrodku Kultury w Kowarach przy ul. Szkolnej 2. Biuletyn kosztował 500 zł. Był obustronną kserokopią formatu A4, którą złożono na pół. Składał się więc z czterech stron A5. Tekst pisano na maszynie do pisania. Biuletyn powstał z inicjatywy Rady Miejskiej Kowar. Był przejawem rodzącej się III Rzeczypospolitej Polskiej – demokratycznej i suwerennej republiki parlamentarnej. Jego celem było informowanie społeczności lokalnej o bieżących sprawach miasta i jego mieszkańców oraz o ich sukcesach i opiniach, a także o pracach Rady Miejskiej i jej komisjach.

W 1991 r. „Kurier Kowarski” powrócił po przerwie w ukazywaniu się. Skład redakcji uległ zmianie i odmłodzeniu. Redaktorem naczelnym został Dariusz Rajkowski. W skład redakcji weszli: Adam Peczeniuk, Janusz Piepiora, Jacek Kunikowski. W nagłówku nr 2/1991 napis „Biuletyn Informacyjny” został zastąpiony wyrażeniem „Miejski Ośrodek Kultury Sportu i Rekreacji”, a od połowy 1993 r. – „Gazeta Miejska”. Zniknęła cena, a liczba stron uległa zwiększeniu do 6, z czasem do 8. Skład gazety robiono komputerowo. W założeniu redakcji KK miał być apolityczną gazetą miejską, pisaną przez kowarzan o kowarzanach i dla kowarzan. Od 1992 r. zmianie uległ format strony KK – z A5 na A4. Zmienił się także sposób jego wydawania. Drukowano go w drukarni. Kosztował już 1000 zł.

W marcu 1994 r. „Kurier Kowarski” jako nr 18 ukazał się w nieco zmienionej szacie graficznej. Sygnowano go numerem 1. KK pozostał miesięcznikiem, ale zmiany dotknęły nie tylko strony wizualnej. Nowym redaktorem naczelnym został Grzegorz Jabłoński. Nakład KK wynosił 500 sztuk, cena – 5000 zł, format strony był zbliżony do rozmiaru C4. Liczba stron wzrosła do kilkunastu. Celem KK stało się przybliżenie historii Kowar oraz najwszechstronniejsze dokumentowanie wszelkich przejawów aktywności ze strony społeczności lokalnej, ze szczególnym uwzględnieniem większych wydarzeń w życiu codziennym, kulturalnym i sportowym. Na wakacje 1994 r. KK otrzymał pierwszą w pełni kolorową, kredową okładkę (wcześniej, od kwietnia/maja 1992 r., kolorowano tylko na zielono winiętę tytułową gazety). Zmiany dotknęły Rady Programowej. Ciekawostką jest, że od tego momentu nie było redaktora naczelnego, a obok stopki redakcyjnej zagościło kolorowe logo Stowarzyszenia Miłośników Kowar. Druk był realizowany w kolejnej drukarni. Nakład zwiększono do 700 egz. przy niezmiętej cenie. Numer uzupełniono o specjalny dodatek – „Informator Kowarski”, w związku z uruchomieniem Centrum Informacji Turystycznej przy ul. 1 Maja 60a w Kowarach. Od tego momentu towarzyszył on corocznie przez kilka kolejnych lat wakacyjnym numerem „Kuriera Kowarskiego”.



Na początku 1995 r. „Kurier Kowarski” stał się „ofiara” rosnącej inflacji. Podniesiono cenę do 80 gr. (8000 zł), redukując nakład do 500 egz. i zmieniając gazetę w dwumiesięcznik, przy niezmięnionej comiesięcznej numeracji. SMK wydało wtedy niezależnie od KK wielostronny, kolorowy kalendarz „Dawna grafika kowarska”. Równocześnie jednostronny kalendarz zaczął także cyklicznie pojawiać się jako dodatek do KK. Rok później „Kurier Kowarski” stał się kwartalnikiem. Każdy numer liczył nie mniej niż 20 stron. Jego cena wzrosła do 2 zł (brak dofinansowania z budżetu miasta), a nakład dalej rósł, aby ustabilizować się na poziomie 650 egz. Z końcem roku redaktorem odpowiedzialnym został Krzysztof Sawicki. W 1997 r. „Kurier Kowarski” otrzymał nową winietę tytułową. Format stał się zbliżony do A4. Każdy numer liczył nie mniej niż 24 strony. Ze stopki redakcyjnej zniknęło kolorowe logo SMK. Zastąpiło je czarno-białe logo KK. Krzysztof Sawicki został redaktorem naczelnym, jego zastępcą – Czesław Mikicki (do nr 68), a sekretarzem redakcji – Mariola Jakubów (do nr. 57). Nakład wzrósł do 700, a później – 800 egz. KK otrzymał numer ISSN 1427-8529. W 1998 r. „Kurier Kowarski” znowu podrożał – kosztował od-tąd 3 zł. Mimo że ponownie był on dofinansowywany z budżetu miasta, nie powstrzymało to wzrostu jej ceny. Nakład zwiększono do 900 egz.

Od nr. 62 (2/1999) także wewnętrzne strony okładki stały się kolorowe. Gazeta po raz kolejny zmieniła winietę tytułową, skład, drukarnię i format – na A4. W 1999 r. nakład osiągnął 1000 egz. Każdy numer liczył nie mniej niż 32 strony. W 2001 r. cena wzrosła do 5 zł – na okładce poinformowano, że uwzględniono w niej podatek VAT. Każdy numer liczył 32 strony. W coraz większym stopniu zaczęto pisać o tym, co działo się w mieście dawniej niż o aktualnościach. Na początku 2002 r. zaczął się schyłek świetności KK. Nakład spadł do 800 sztuk, aby na koniec roku osiągnąć ilość 700 egz. Podobna tendencja dotknęła ilości stron, odpowiednio 32 na początku i 28 na końcu roku. W dniu 1.05.2004 R. zaczęła działać strona internetowa www.Kurierkowarski.Pl, która obecnie już nie funkcjonuje. Ilość stron wynosiła średnio 31.

W 2005 r. nastąpiła kolejna przerwa w ukazywaniu się „Kuriera Kowarskiego”, zamiast którego zaczęto wydawać nową gazetę miejską „Gazetę Kowarską”. W jej winiecie tytułowej, podobnie jak w przypadku KK, umieszczono herb Kowar. Redaktorem naczelnym została Katarzyna Borówek-Schmidt. Rok później reaktywowano KK. Pierwszy po przerwie nr 85 powrócił jako kwartalny dodatek do „Gazety Kowarskiej”. Posiadał winietę tytułową taką samą jak w Rn. 84. Pod nią dodano dopisek: Stowarzyszenie Miłośników Kowar. Ciekawostką jest, że początkowo był on drukowany wertykalnie („do góry nogami”) względem „Gazety Kowarskiej” – miał więc także kolorową okładkę.

Kończąc pisanie tego artykułu 8.05.2014 r., zdałem sobie sprawę, że ćwierć wieku to mnóstwo czasu. Przez 25 lat swojego istnienia „Kurier Kowarski” przeszedł przez następujące etapy: nieudane narodziny w 1990 r., odrodzenie w 1991 r., dzieciństwo w latach 1992-1993, młodość w latach 1994-1996, dojrzałość w latach 1997-2001, starość w latach 2002-2004, ponowne odrodzenie w 2006 r. w postaci dodatku do „Gazety Kowarskiej”, które trwa do dziś. Jego funkcjonowanie było nierozdzielnie związane z historią Kowar i jego mieszkańców, która rozgrywała się niejako na dwóch planach czasowych. Pierwszy dotyczył historii *sensu stricte*, wzmiankowanej w „Kurierze Kowarskim”, a drugi – ówczesnej teraźniejszości, która obecnie stała się cenną historią Kowar zapisaną na kartach KK.

Zbigniew Piepiora



GAZETA MIEJSKA Nr 3 (28) Kwiecień 1994 5 000 zł



1 kwietnia 1994 roku - pierwsze samochody przekraczają otwarte przejście graniczne na Okraju.

Nasza relacja na str. 2.

Fot. Krzysztof Sawicki

W NUMERZE:

- Pechowa granica - str. 2
- Wywiad miesięczny - str. 3
- Nasz budżet - str. 4 - 6
- Oczyszczalnia ścieków - str. 7
- Gaz dla Kowar - str. 12
- Telefonizacja gminy - str. 15
- Bolko II Świdnicki i Kowary - str. 16
- Zadanie i funkcje przedszkola - str. 18
- Kultura - str. 19
- Sport - str. 21
- Galeria Kuriera - str. 22

Rewaloryzacja centrum Kowar
str. 8, 9, 10, 13 i 14

POZOSTAJE WIARA ...

Przypominamy, że 3 marca SKK ogłosił śmierć handlu w mieście i zwołował wice zloty przed Urzędem Miasta, na którym odczytano list otwarty do władz zarzucając im stosowanie złej polityki w stosunku do kowarskich handlowców. O wyjaśnienie sytuacji poprosiliśmy kilku bezpośrednio nią zainteresowanych.

Zdaniem pana Zbigniewa Zagóry, przewodniczącego Rady Miejskiej nie ma konfliktu pomiędzy Radą a SKK. Jest to konflikt dwóch różnych wizji funkcjonowania handlu w Kowarach. Jedną reprezentuje Stowarzyszenie, inną Rada Miasta.

Prezentujemy kolejne dwa głosy w rozpoczętej przed miesiącem dyskusji dotyczącej sporu pomiędzy Radą Miejską a Stowarzyszeniem Kupców Kowarskich. Pierwszy z nich jest odpowiedzią na zamieszczony w poprzednim numerze tekst pana Zbigniewa Zagóry, drugi – redakcyjną próbą obiektywnej oceny problemu.

Znaczy to, że problem jest nie tylko formalny. Kupcy – mówi pan Zagóra – zarzucają nam stosowanie sztywnej polityki czynsowej. Oczywiście, mają rację. Zapominają przy tym, że wynika to z realności, w jakich żyjemy dzisiaj: wysokiego wolumenu rynku, konkurencji, nieradzi i bezładnej walki o przetrwanie, której wszyscy wygrać nie mogą.

Kupcy twierdzą, że takie stanowisko radyłch powoduje recesję w handlu i zmusza ich do zastawiania się ilościami sklepów powodując konkurencję, która czyni handel nieopłacalnym. Sprawy to, że

kupestwo w Kowarach zamiast rozwijać się, będzie zanikać.

Zapewnie inne winiaki nastawiają się przy obser-wacji przygotowań na lokale handlowe – twierdzi pan Mieczysław Lawer, Skarbnik Miasta – zatrudnienie musi więcej być, jest duże i obywateli do prowadzenia działalności nie brakuje. Hamowanie tego procesu, czyli ograniczanie ilości sklepów, jak sobie tego życzy SKK, byłoby sprzeczne z zasadami wolnego rynku.

dalej ciąg na str. 2

Poznajmy polskie wulkany

Szlak rozpoczyna się w Jaworze u podnóża Sudetów Zachodnich obok leśniczówki Jawor. Następnie biegnie na zachód razem z żółtym szlakiem pieszym „Wygasłych Wulkanów” obok Małych Organów Myśluborskich, po czym odbija w prawo na północ do Myśluborza. Następnie biegnie przez Myślinów i dalej znów razem z żółtym Szlakiem Wygasłych Wulkanów. Dalej szlak prowadzi przez las, po czym przecina drogę wojewódzką nr 365 i biegnie na północny-zachód w kierunku wsi Pomocne. Przez wieś i za kościołem św. Marcina szlak skręca w prawo do Stanisławowa, gdzie skręca w lewo razem z czerwonym szlakiem pieszym. Następnie opuszcza szlak czerwony i skręca w prawo w kierunku ruin dawnej radiostacji, mijając wzgórze Rosocha (464) i podąża do Leszczyzny. Obok pieców wapienniczych w lewo do góry asfaltową drogą w kierunku Wilkowa. Następnie przez Sępów i Jerzmanice Zdrój szlak prowadzi w kierunku Złotoryi. Szczegółowy opis trasy na stronie internetowej www.ks-j.com.pl

Trasa rowerowa „Szlakiem po krainie wygasłych wulkanów”: długość: 32,4 km, stopień trudności: średni.

Ciekawe miejsca na szlaku: Rynek w Jaworze, Centrum edukacji ekologicznej „Salamandra”, Skansen hutniczy w Leszczyźnie, Muzeum Złota w Złotoryi, Ośrodek Wypoczynkowy Jawornik w Jaworze.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Norweski kościół pod Śnieżką

Przed ponad czterdziestu laty ks. Ryszard Trenkler, z parafii ewangelicko-augsburskiej w Bierutowicach, opisał w dużym skrócie historię norweskiego kościoła w skromnym przewodniku Wydawnictwa „Zwiastun Ewangelicki”. To godny wznowienia, typowy „podręcznik” czy może „niezbędnik” dla karkonoskich turystów i krajoznawców, do czytania przed odwiedzeniem i w czasie podziwiania tego niezwykłego zabytku. Czytamy, że kościół w dokumentach kościelnych opisany był po raz pierwszy w 1327 r., zaś bogata ornamentyka w wystroju jego wnętrza świadczy o wielkim poczuciu artyzmu dawnych norweskich cieśli i pochodzić może sprzed 1250 r.

Drewniany kościół norweski u podnóża Śnieżki, góry kultowej Sudetów, od 170 lat podziwiać można w karkonoskim Karpaczu-Bierutowicach, a został przeniesiony na nowe siedlisko w 1842 r. z południowej Norwegii, z okolic Miöse. Dokładniej: ze znanej już w 1175 r. parafii (od XVI w. protestanckiej) Vang, położonej nad jeziorem o tej samej nazwie w niewysokich górach. Ponowne poświęcenie małej starożytnej świątyni odbyło się 28.07.1844 r. podczas uroczystej procesji z udziałem licznych wiernych i dostojników. Wiek kościoła jest określany na ponad siedemset lat. Zbudowano go z żywicznego drewna norweskich sosen odpornych na wpływy surowego klimatu. Ale czas i tak zrobił swoje.

Jak i dlaczego osobliwa budowla znalazła się pod Śnieżką? Jego pierwsi norwescy parafianie stwierdzili około 1840 r., że świątynia jest dla nich za mała i na dodatek wymaga kosztownej wymiany i naprawy zniszczonych wielu elementów konstrukcyjnych. Żeby mieć fundusze na zbudowanie nowego, murowanego, zdecydowali oni o sprzedaży starego kościoła. Kupił go „na części” norweski malarz Johan Christian Clausen Dahl, a zarazem wybitny znawca architektury drewnianych świątyń w południowych Niemczech. Był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie, który zaprzagnął uratować kościół ze swego rodzinnego kraju przed użyciem starego drewna jako opału. Po rozebraniu i dokładnym opisanium wszystkich części starej budowli przewieziono je najpierw do norweskiego portu Bergen, a następnie statkiem do Muzeum Królewskiego w Berlinie. O dalszych losach kościoła zdecydował jednak pruski król Fryderyk Wilhelm IV. Był on wielkim miłośnikiem i znawcą zabytków, zwłaszcza drewnianych. Odkupił rozebraną na części budowlę od norwesko-niemieckiego malarza i zamierzał umiejscowić świątynię w Berlinie wśród innych cennych zabytków drewnianej architektury. Zanim do tego doszło, pruski król skorzystał z rady zaprzyjaźnionej z nim hrabiny Fryderyki Karoliny von Reden z Bukowca koło Kowar. Była to osoba wielce rozmiłowana w sztuce, miała istotny

udział w powstaniu wielu znanych i zachowanych do dziś zabytkowych zespołów pałacowo-parkowych na Dolnym Śląsku. To dzięki niej król zmienił decyzję. Dlatego stało się inaczej i ostatecznie zdecydowano o przeniesieniu i ustawieniu kościoła w okolicy zwanej Czarna Góra, a ewangeliccy parafianie z Karpacza, którzy musieli chodzić do odległego kościoła w Miłkowie, zyskali świątynię bliżej swych domów. Autor wspomnianego przewodnika określił, że nowe miejsce dla kościoła jest „w połowie drogi na Śnieżkę, licząc od Karpacza”.

Zapadła decyzja o „wielkiej wędrówce”, czyli o niezwyklej i dalekiej podróży świątyni w czę-

ściach na nowe miejsce, „na chwałę bożą”. Nowe siedlisko kościoła zawdzięczamy hrabinie von Reden oraz darowiźnie gruntu pod wznowienie kościoła na nowej posadzie przez katolickiego hrabiego Christiana Leopolda Schaffgotscha z nieodległych Cieplic-Zdroju. Jego rodzina ma wielkie zasługi dla historii Dolnego Śląska, m.in. będąc fundatorami wspaniałego pałacu, biblioteki i muzeum przyrodniczego w tym znanym uzdrowisku, obecnie części Jeleniej Góry. Po podróży morzem i splawieniu ładunku Odrą następnym etapem w wędrówce kościoła z Vang do Bierutowic stała się mozolna droga lądowa. Nie było to łatwe przedsięwzięcie, jeśli zważymy ówczesny stan dróg i transport wożami zaprzężonymi zapewne w woły lub konie, w terenie o typowo górskim pod koniec niezwyklej podróży. Tak więc wiosną 1842 r. rozebrana na części budowla popłynęła na barkach kanałami i Odrą z Berlina aż do Legnicy. Dalej – jak podaje autor przewodnika – na nowe miejsce drewniane elementy na dziewiętnastu wozach wieziono przez Jelenią Górę do Karpacza. Niezwykła kawalkada ze świątynią była witana na trasie przez ludność niczym pielgrzymka relikwii. Szybko postępowało umiejscowienie kościoła na polanie Czarna Góra, zbudowanie nowej plebanii oraz wieżowej kamiennej dzwonnicy. Od 14.07.1842 r. trwała wymiana elementów, konieczne uzupełnienia i składanie świątyni przebiegało bardzo sprawnie i szybko, jak tylko pozwalały na to warunki atmosferyczne w tych stronach. Już w dwa tygodnie później – 2.08.1842 r. – patronujący całemu przedsięwzięciu król Fryderyk Wilhelm IV symbolicznie położył kamień węgielny. Do kościoła gotowego na przyjęcie wiernych przybyła też nowa wieża-dzwonnica, zawieszono dwa dzwony i 28.07.1844 r. odbyło się uroczyste poświęcenie kościoła, nabożeństwo otwierające świątynię, czyli nowy rozdział w jej wielowiekowych dziejach. Ponownie wziął w niej udział król, hrabina von Reden, budowniczy i liczni parafianie z okolicznych miejscowości. A z nowej dzwonnicy po górskich okolicach niósł się dźwięk dzwonów.

Oficjalna nazwa odnowionej parafialnej ewangelickiej świątyni to Kościół Górski Naszego Zbawiciela, popularnie Kościół Wang lub Świątynia Wang w Karpaczu. Jest to tzw. kościół klepkowy – inaczej słupowy – którego ściany opierają się na wysokich słupach, a wokoło nawy – jak w dawnych klasztorach i wielu świątyniach nie tylko skandynawskich – biegną kruzganki. Zapewniają ochronę wiernych wewnątrz przed zmienną pogodą, surową w Norwegii i często niemal tak samo dokuczliwą w Karkonoszach. Wewnątrz zachowały się cenne zabytkowe elementy, jak kapitele bogato zdobionych kolumn nośnych, portale i obramowania drzwi, a zwłaszcza oryginalna ambona. Trwałość wielu elementów konstrukcyjnych pierwotnie zapewniło nasycenie drewna ropopochodnym dziegciem. Cała budowla zarówno przed wiekami, jak i po przeniesieniu z Norwegii na dawne ziemie pruskie, dziś polskie kresy zachodnie, powstała bez użycia gwoździ, tylko z zastosowaniem łączy ciesielskich. Na wieżyczce nad główną nawą są wspaniałe okna rozetowe, a dachy i kalenice ostro spadających dachów wieńczą stylizowane „smoki” lub „główki zwierząt”, w naszym budownictwie ludowym w kilku



Kościółek Wang, w głębi Śnieżka. Fot. Piotr Dacko

regionach Polski zwane „sparogami”. Jak podaje ks. Trenkler w opisie wnętrza świątyni, oryginalne są w większości elementy ścian, stylowe kute żelazne kandelabry nad nawą główną, cztery kolumny z ozdobnymi kapitelami. Dwie kolumny, oraz wycięty z jednolitego kłosa drewna dębowego, krucyfiks z 1846 r. w prezbiterium wyszły spod rąk Jakuba z Janowic, polskiego majstra pracującego przy urządzaniu kościoła na nowym miejscu. W wyposażeniu świątyni nie ma dawnych oryginalnych obrazów, które znalazły się w Muzeum Berlińskim.


Dzwonnica obok kościoła, zbudowana z granitowego kamienia, od 1844 r. kryje dwa dzwony o imieniu „Chwała Chrystusowi” (350 kg) i o połowę lżejszy „Ojciec Nasz”. Natomiast sygnaturka „Baranek Boży” znajduje się w wieżycze świątyni od czasu jej wznowienia. W otoczeniu świątyni jest stary cmentarz z licznymi kamiennymi stelami nagrobnymi z granitu i marmuru. Złożono na nim urny z prochami Henryka Tomaszewskiego (zm. 2001) i Tadeusza Różewicza (zm. 2014). Na ścianie oporowej – chroniącej kościół przed osuwaniem gruntu ze skarpy – jest epitafium z medalionem ku czci Fryderyki Karoliny von Reden, zasłużonej dla niezwykłych losów i posadowieniu w Karkonoszach starego kościoła z dalekiej Norwegii, w popularnym Karpaczu i przy ruchliwych ciągu całego roku szlakach turystycznych.

Od wielu lat trwała – i zachowana jest do dziś – osobliwa tradycja zawierania w tym kościele małżeństw. Związki te uważane były od dawna za długotrwałe i szczęśliwe. Uroczystości odbywają się, jak dawniej, z taką nadzieją i pod wspomnianymi kandelabrami z zapalonymi świecami. Wiadomo z kronik parafialnych, że rocznie miało miejsce około trzystu takich ślubów, a narzeczeni zjeżdżali do karkonoskich Bierutowic z wielu okolic, także z zagranicy, w dawnych latach również z Polski. Tradycja ta utrzymuje się nadal, a terminy zaślubin są ustalane i wyznaczane z wyprzedzeniem i trzeba czekać w kolejce przez wiele miesięcy. Wspomniane „szczęśliwe zaślubiny” pod starymi norweskiemi kandelabrami – w każdym pali się po dziesięć tradycyjnych świec – mające wielu zwolenników, jest możliwe ich zawierania zarówno przez wiernych wyznania ewangelicko augsburskiego, jak i rzymsko-katolickiego. Podobnie i obrzędy chrzcin przy głównym ołtarzu i pięknej zabytkowej chrzcielnicy. Warto wspomnieć, że tylko od marca do grudnia 2013 r. zawarło je 26 par, w większości rzymsko-katolickich. O ich popularności świadczą zarezerwowane już latem poprzedniego roku terminy od maja do września 2014 r.

O tym, że świątynia jest nie tylko cennym zabytkiem o bogatej i barwnej historii, świadczy działalność parafii. Od 170 lat po przeniesieniu na nowe siedlisko, i od przejęcia świątyni po 1945 r. przez polski Kościół Ewangelicko-Augsburski, jest ona nie tylko ośrodkiem kultowym parafii – zboru, czyli w istocie rzeczy społecznością wiernych. Jest też organizatorem życia kulturalnego, działalności charytatywnej, a także bogatego życia muzycznego koncertów muzyki organowej dawnej i współczesnej, najczęściej kameralnej, pod egidą Fundacji „Karkonosze – Muzyka Serc”. Parafia prowadzi ośrodek czasowo-szkoleniowy w budynkach „Smrek” i „Wang”, ma dogodnie dla turystów domki noclegowe oraz pokoje gościnne w domu parafialnym. Zatem stanowi ważny punkt oparcia dla krajoznawców odwiedzających w ciągu całego roku liczne stoki narciarskie, szlaki piesze i rowerowe Karkonoszy, uzdrowisko Świeradów-Zdrój, Szklarską Porębę, Karpacz i Świątynię Wang.

W „Kanonie Krajoznawczym Polski” Karpacz opisany jest wraz z 33 najcenniejszymi dla krajoznawców, turystów i wczasowiczów miejscowościami i obiektami w woj. dolnośląskim. Są to m.in. świątynia Wang, Alpinarium, Muzeum Sportu i Turystyki (jedno z czterech w Polsce, działa od 1974 r., czyli 40 lat), Muzeum Lalek, a w bliskim sąsiedztwie istnieje od 55 lat Karkonoski Park Narodowy, z bliźniaczym parkiem po drugiej stronie karkonoskiej granicy z Republiką Czeską.

Tomasz Kowalik



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Czas szczególny i wspaniały (8)

Leśniczówka była skarbnicą starego obyczaju. Boże Narodzenie celebrowano uroczysto. Było siano pod białym obrusem z najpiękniejszej łąki i snop zboża w kącie kuchni, obrzędowe potrawy, a nade wszystko kołody i łamanie się opłatkiem. Przed świętami Zesłania Ducha Świętego stroiliśmy obejście leśniczówki pachnącym tatarakiem, zerwanym z brzegów przepływającej nieopodal Wilii. W szczególny i bardzo uroczysty sposób czciliśmy święto Wniebowzięcia NMP (MB Zielnej) połączone z Dniem Wojska Polskiego. Z naręczami ziół i kwiatów udawaliśmy się do najbliższego kościoła wiejskiego w Szumbarze, oddalonego od leśniczówki o 3 km, który dla niej był kościołem parafialnym, względnie do Katerburga lub Szumska. Prześcigaliśmy się w zbieraniu dorodnych, smakowitych poziomek, jeżyn, dzikich truskawek, czereśni. Szczególnie lubiliśmy współzawodnictwo w zbieraniu laskowych orzechów i grzybów (głównie borowików), podgrzybków, rydzów, kurek, opieńków). Chłoniliśmy uderzające falą zapachy dzikich ziół, jak orchidee (buławnik czerwony, obuwnik, kukułka krwista i szerokolistna, ozorka zielonawa, podłożan zielonawy, kruszczyk szerokolistny, gniezdnik leśny) dziurawiec, piołun, macierzanka, mięta. Cieszyliśmy się harcami nad łąką barwnych motyli, zwłaszcza najpiękniejszymi i największymi, jak paż królowej i żeglarz, majestatycznymi lotami polnych koników, zwinnie uciekającymi świetlikami, brzęczącymi chrabąszczami, śpiewem ptaków i szumem wiatru w konarach drzew. Tu też wczesnym rankiem zachwycaliśmy się, jak wstaje mgła nad łąką i wypełnia śródleśną dolinę. Uciekaliśmy i kryliśmy się przed pszczołami, uwijającymi się wśród kwiatów lip, osami i niebezpiecznymi szerszeniami. Obserwowaliśmy z dużym zaciekawieniem polowania i towarzyszący im rytuał myśliwski.

W leśniczówce okrywaliśmy wyraźny, pełen powabu cykl czterech pór roku, niczym koncerty Antonia Vivaldiego. W piękne, ciche dni jesieni najczęściej z Ojcem chodziliśmy nad Wilię. Wybieraliśmy popołudnia w bezwietrzne dni wczesnej jesieni, gdy słońce wysyłało ostre, ale miękkie światło, by delektować się obrazami nadbrzeżnych drzew, których rdzawe korony odbijały się w krystalicznie czystej tafli rzeki. Podziwialiśmy, jak Wilia przetacza swe wody majestatycznie, meandruje, ale ze spokojem, wyłania się zza zakrętu i znika za nim, pokazuje swe piękno wśród rozległych łąk, chowa się wśród sitowia, zarośli krzewów i drzew. Patrzyliśmy na jasnozieloną linię trzciny, z których czasem wypływał zwinny perkoz, rozglądał się i dawał nurka, by ukazać się po chwili w innym miejscu. Siostra popisowała się umiejętnością łowienia raków. Wokół panowała idealna cisza. Znikły pszczoły, trzmiele i ważki. Chodzenie o tej porze nad rzekę, na łąkę, do lasu, to wymarzony balsam dla duszy, oczu i uszu, myśli i uczuć. Jak bardzo to kontrastuje z współczesnym, uciążliwym światem dużej aglomeracji miejskiej! Pamiętam dalekie, wieczorne odgłosy przekomarzania się rozłożystego klucza, składającego się kilku setek dzikich gęsi nad lasem. Słysząc je było nawet wtedy, gdy zniknęły z pola widzenia i osiadły wśród bagien i łąk Wilii, by, gdy rozbłyszna promienie wschodzącego słońca, znowu poderwać się do wielogodzinnego lotu. Śledziliśmy z dużym zainteresowaniem krzyki żurawi. Ich klangor odbijał się donośnym echem. Potem zaczynały krążyć drapieżniki, zwłaszcza myszołowy z szeroko rozpostartymi ogonami i barwne błotniaki.

Słuchaliśmy z niezwykłym zaciekawieniem, przechodzącym w zainteresowanie i zamięłowanie, opowiadane przez babcię legendy i baśnie, szczególnie dotyczące Ikwy, Góry Bony i Dziewiczych Skalek. Treść tych opowieści była sugestywna, działała na wyobraźnię. Dziadek i wszyscy jego synowie (Bolesław, Marian, Stanisław i Władysław) jako zapaleni myśliwi i pasjonaci łowiectwa byli przywiązani do sygnalistyki myśliwskiej. Dlatego ostra, radosna i pełna zadumy muzyka myśliwskich rogów rozbrzmiewała w leśniczówce w chwilach radości, podczas uroczystości rodzinnych. Towarzyszyła podczas polowań i święta sadzenia drzew w lesie. Obok muzyki rozbrzmiewało wówczas zwyczajowe pozdrowienie leśników i myśliwych *Darz Bór!* To słowa z hymnu *Hasło leśników* napisanego przez Stanisława Wyrwińskiego w 1920 r. Oznacza: niech cię bór (las) obdarza, daje dary. Gdy byłem

grzeczny, dziadek zabierał mnie w nagrodę do lasu na swoiste *safari* (*oglądanie zwierząt w ich naturalnym środowisku*). Pokazywał ostoje zwierzyny leśnej, miejsca ich żerowania oraz trudno dostępne drzewostany. Wprowadzał w tajniki ścinki i zrywki drewna oraz zalesiania. Razem z Nim wsłuchiwałem się w szelest liści pod naszymi stopami. Czasem powodował go wiatr buszujący między leżącymi liśćmi. Mieliśmy szczęście usłyszeć świergot skowronka, a nawet ponure pohukiwanie uszatki. W takim akompaniamencie dętej orkiestry leśnej mile i pożytecznie upływały spacer po lesie. Podczas nich Dziadek uczył nazw drzew, ich odróżniania oraz dbałości o las, żeby był uroczy. Wierzył, że wiele z drzew ma moc leczniczą. Był przekonany, że każdy z nas może przez dotyk doświadczyć dobroczynnego ich promieniowania. Substancje zawarte w korze, kwiatach i liściach drzew zawierają właściwości bakteriobójcze, przeciwzapalne i przeciwbólowe, a soki i olejki eteryczne nie tylko poprawiają samopoczucie, lecz również dodają sił. Pole energetyczne zdrowych drzew uspokaja ludzi znerwicowanych. Żeby móc korzystać ze zdrowotnych dobrodziejstw lasu, trzeba zdrowe, dobre drzewa (takie jak brzoza, buk, dąb, jarzębina, lipa, sosna) dotykać przez pół godziny w ciągu trzech tygodni odkrytymi częściami ciała (czołem, dłońmi, bosymi stopami lub plecami). Przykładowo, do dziś pamiętam, że *brzoza* usuwa napięcia mięśni, neutralizuje promieniowanie, hamuje złość, gniew i uodparnia na strach. Natomiast spacer po *bukowym lesie* poprawiają krążenie krwi, niwelują stresi, a liść przyłożony do czoła oddala migrenę. Król drzew (*dąb*) poprawia krążenie krwi, przywraca energię życiową, wzmacnia organizm. W łagodzeniu stanów lękowych i ułatwianiu zasypiania sprzyja *jarzębina*. Z kolei *lipa* zapewnia równowagę wewnętrzną, uspokaja, łagodzi napięcia, obniża ciśnienie krwi. Napar z jej kwiatów działa napotnie. *Sosna* usuwa objawy osłabienia i przemęczenia, oczyszcza górne drogi oddechowe.

W leśniczówce poznawaliśmy tajemniczy świat mieszkańców lasu (ptactwo, zwierzęta, kwiaty, zioła, owoce). Tu witaliśmy przylatujące do niej bociany, obserwowaliśmy ich życie rodzinne. Szczególnie interesujące były młode bociany, opuszczające gniazdo, uczące się wynajdywania koników polnych i żabek na łące, albo, gdy wzbijały się wysoko i spokojnie kołowały, opanowując umiejętność korzystania z powietrznych prądów, przydatnych w pierwszym locie do Afryki. Ze smutkiem śledziliśmy odloty bocianów do ciepłych krajów. Była to nieformalna, lecz autentyczna, leśna edukacja przyrodnicza.

W zaciszu leśniczówki ciocia Wiktoria i wujek Teofil (Łuczakowie) rozkochali nas w książkach i cierpliwie pokazywali, jak ubierać myśli w słowa. Uczyli, żeby nasz język był zdolny do powiedzenia wszystkiego, co pomyśli głowa, ujrzą oczy, odkryje smak oraz co dzięki niemu rozumiemy i odczuwamy. Natomiast Ojciec uczył nas ważności i stosowności posługiwania się takimi, jak przekonałem się w późniejszym życiu, istotnymi słowami, jak *proszę, dziękuję, przepraszam*. Zachęcał do czytania książek, nie tylko po to, żeby czegoś się dowiedzieć, lecz aby zachować zdolność do kreatywnego myślenia. Z czasem las i przylegająca do niego leśniczówka, chowanie się z moją siostrą za drzewami stały się nie tylko niezbywalną częścią naszej biografii, lecz urosły do symbolu małej Ojczyzny. Podróżujemy do niej w naszych myślach i sercach po śladach wydobywania tego, co staje się powoli zatarte i zagłuszone. Jest pamięcią przeszłości, której nie ma kto pamiętać. Po latach leśniczówkę przybliżam w kontekście *Pieśni o domu* Marii Konopnickiej:

*Kochasz ty dom, rodzinny dom
Co w letnią noc, skroś srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe lzy.*

Tam, w scenerii niezapomnianego lasu, stosunkowo wcześniej dopada nas historia w postaci sowieckich czołgów i ich porządków, które narastały z każdym dniem, począwszy od 17.09.1939 r. Pamiętam, jak w bezładzie szosą łączącą Ostróg nad Styrem z Krzemieńcem lawinowo nadciągali Sowietci. W przeciwieństwie do żołnierzy Wojska Polskiego, którzy mieli porządnie uszyte mundury, dobre buty, skórzane pasy, bolszewicy nosili długie karabiny, często przerastające ich samych, na sznurkach, brudne poszarpane mundury, podarte *szynele*. Wielu miało *łapcie*, cywilne ubrania i *cyklistówki*. Zamiast papierosów palili rozdrobione łądy tytoniu (*kuryszki*), zawijane w papier gazetowy. Przedstawiali tłumy zdezorientowanych, fatalnie wyszkolonych *bojców* pędzonych naprzód przez *politruków*. Obraz ten dopełniał fatalny, często psujący się sprzęt. W leśniczówce zaskoczyła

nas o mroźnym (-43 °C) świcie 10.02.1940 r. wywózka na *nieludzką ziemię*. NKWD objęła nią w pierwszym rządzie inteligencję, osadników wojskowych, urzędników, leśniczych i gajowych oraz rodziny ziemskie. Dobrze pamiętam, jak jadąc z leśniczówki saniami na dworzec kolejowy w Krzemieńcu patrzyłem z przerażeniem na oddalającą się małą Ojczyznę. Pamięć ta została ze mną po dzień dzisiejszy. Zapamiętaliśmy nie tylko ten dzień. Każdy następny pod okupacją na przemian sowiecką i niemiecką wypalał boleśnie. Do dziś pozostały po nich niezaleczone w sercu rany rzeczywistości totalitaryzmu sowieckiego i nacjonalizmu ukraińskiego. Czy o tych tragicznych wydarzeniach można zapomnieć i wybaczyć ich sprawcom? Odpowiedzi udziela Juliusz Słowacki, który pisze: *Ze wszystkich nędz – najstraszniejsze ludzkie zapomnienie*, a Adam Mickiewicz dopowiada: *Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie*. W wyobraźni mojej ślady tych obrazów tkwią mimo upływu tylu lat. Chowam je w pamięci. Przywołuję cały ich porządek. Klepanie kos o świcie. Turkot wozów drabiniastych. Pyszne zsiadłe mleko. Spanie na skoszonym dopiero co pachnącym sianie. Kot mrużący w nocy. Potrzeba ta wzrasta w miarę, jak staję się dawniejszy w czasie i z większą pokorą odnoszę się do jego upływu. Z perspektywy jego dali utwierdzam się w przekonaniu, że spędzone w Krzemieńcu, Górach Krzemienieckich i leśniczówce lata stały się podwalinami tego wszystkiego, co nastąpiło później. Czy szczęśliwy los sprawi, że będę mógł tam jeszcze wrócić na krótki czas, by napawać się zapachem tamtej ziemi, cieszyć oczy widokiem pól i łąk, opowieściami lasu i szeptem wód Ikwy, Irwy, Wilii i Styru. Tym wszystkim, co tak bardzo pokochałem w latach dziecięcych?

Cdn.
Kazimierz Denek

Sierpniowa rocznica

W sierpniu 2014 przypada setna rocznica wybuchu I wojny światowej i wymarszu na front Pierwszej Kompanii Kadrowej”. Z tej okazji prezentujemy znaczek z 1939 r. wydany na XXV rocznicę wymarszu (ze zbiorów autora).

Andrzej Rumiński



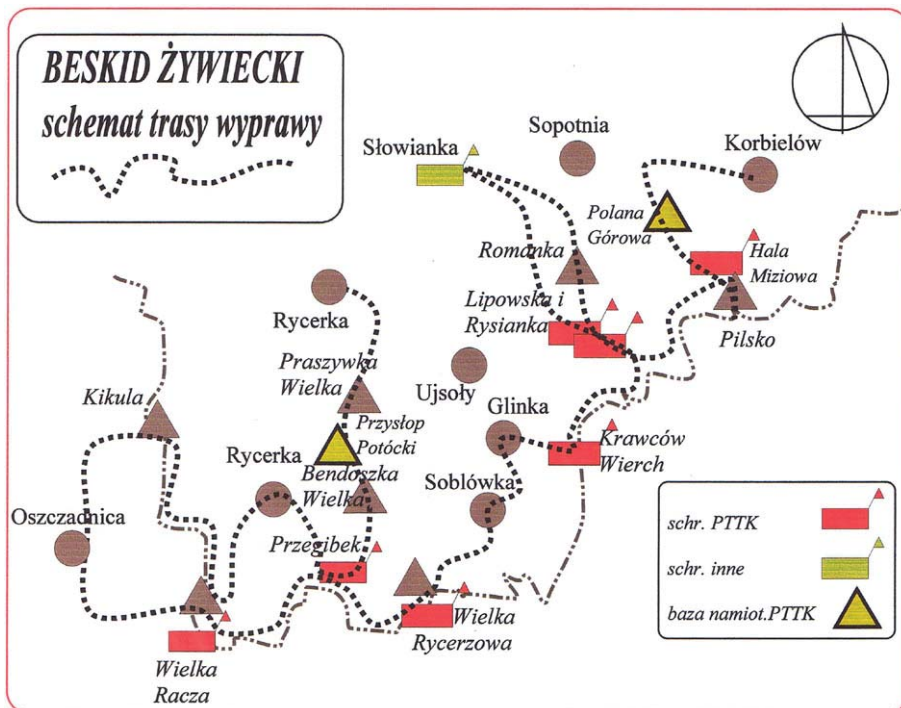
Wakacje w Beskidzie Żywieckim

Do ostatniego dnia wakacji trwała moja zeszłoroczna wyprawa w Beskid Żywiecki. No cóż, wszelkie wyjazdowe terminy uzależnione są od kalendarza szkolnego, jako że moje tzw. latorośle są w szkole wymagającej ciągłego udziału rodziców w procesie nauczania. Trudno więc wyskoczyć jesienią lub wiosną. Ponieważ do tej pory sprawdzały się od strony pogody terminy sierpniowe, w tym roku także „padło” na koniec tego miesiąca. Zaplanowaliśmy dziewięć dni wędrówki od Korbielowa po Wielką Raczę. Miejsce startu określały możliwości dojazdu. Chodziło o to, aby po podróży nocnym pociągiem możliwie szybko przedostać się z

Bielska-Białej na miejsce wyjścia w góry. Przyjęliśmy konwencję prawie pełnej samowystarczalności, ale z noclegami w obiektach PTTK. Po drodze miała być tylko jedna górська wieś, w której można było uzupełnić zaopatrzenie i jedno miejsce zaopatrzeniowe w górach. Aby nie deptać po raz któryś tam znanych już szlaków i poznać coś nowego, trzeba było trochę pogłówkować. Stąd trasa wyprawy była dosyć pokręcona. Nie chodziło przy tym o przejście „ile się da” i o tzw. „zaliczanie szczytów”, lecz aby trasa była urozmaicona i możliwie ciekawa.

W Korbielowie lądujemy około godz. 11.30. Krótki wypad do sklepu po świeże warzywa, owoce i chleb, kubek jogurtu „na twarz” i można ruszać. Celem jest Hala Miziowa i Pilsko, ale nie tak od razu. Prawie wszyscy idą szlakiem żółtym albo zielonym bezpośrednio na Miziową. My postanowiliśmy wydłużyć nieco dojscie, a przy okazji poznać nowy szlak, uraczyć się nowymi widokami i zanoć w fajnym miejscu. Tym miejscem jest baza namiotowa na Polanie Górowej. Dla moich juniorów taki nocleg to dodatkowa zachęta do wysiłku po nocnej podróży. Poszliśmy niebieskim szlakiem na przełęcz

Przysłopy, gdzie zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę. Obiecałem chłopcom piękny widok na Babią Górę, no i tenże widok był. Punkt dla mnie. Na przełęczy spotykamy dwoje turystów, którzy chcąc schodzić do Korbielowa nieco się zapędzili i ruszyli pod górę w stronę Malorki. Ot, drobna pomyłka, kolor czarny został wzięty za niebieski. Przytomnie cofnęli się, a spotkawszy nas zapytali o zejście do Korbielowa. Trzeba dodać, że specjalnego tłoku nie było tego dnia na naszej trasie, więc i pytać o drogę nie bardzo było kogo. My zaś po odpoczynku poszliśmy przez Malorkę (Malarkę,



Baza namiotowa na Polanie Górowej

1051 m) i Uszczawne Wyżne (1145 m) na Halę Górową do bazy namiotowej SKPB Katowice na Polanie. Bazowy przyjął nas gościnnie od razu częstując herbatą, po czym ulokowaliśmy się na „antresoli” dawnej bacówki wchodzącej w skład bazy, gdzie umościliśmy sobie legowisko. Do dyspozycji była dowolna ilość materaców, otrzymaliśmy też tyle koców, ile było potrzeba. Noc miała być chłodna. Rzeczywiście, rano było ledwo 8°.

Wypoczęci i wyspani, zachęceni dobrą pogodą, wyruszyliśmy następnego dnia w kierunku Pilska. Plan był taki. Jeśli pogoda kiepska, to idziemy od razu przez Miziową w kierunku Rysianki, jeśli słońce, to odwiedzimy jeszcze Pilsko. Tak też się stało. Zostawiwszy plecaki w schronisku wyskoczyliśmy na graniczny wierzchołek schodząc żółtym szlakiem, znacznie ciekawszym od czarnego. Potem chwila odpoczynku i przy pięknej pogodzie marsz na Rysiankę przez Trzy Kopce. Ku memu zdziwieniu wszystkie dotychczasowe odcinki pokonywaliśmy w czasie przewodnikowym, a wydawało mi się, że idziemy wolniej. To dobry znak, to znaczy, że nasze możliwości w pokonywaniu odległości są całkiem niezłe. Na Rysiance lokujemy się w Betlejemce, domku noclegowym będącym częścią schroniska. Po południu dwugodzinny wypad na wierzchołkową (1322 m) halę nad schroniskiem. Plonem była menażka pełna czarnych jagód. Zasypane cukrem stanowiły deser po wieczornym posiłku.

Po dwóch przejściach „na ciężko” przyszła pora na dłuższy, ale za to mniej uciążliwy dzień. Trasa wiodła przez Przeł. Pawlusią na Romankę (1366 m), dalej do Słowianki i z powrotem na Rysiankę, ale inną drogą, czerwonym szlakiem trawersującym zachodnie zbocza Romanki. Na zejściu z niej spotkaliśmy liczną grupę Polaków i Czechów z Zaolzia idącą przez Rysiankę na stronę słowacką. Przy Słowiance odpoczynek przed drogą powrotną. Niedługo potem spotkaliśmy kogoś, kogo spodziewaliśmy się zastać w tym miejscu. To pani Elżbieta, bohaterka notatki „Stąd... do Słowianki” (NS 10/2012). Właśnie wracała ze spaceru, z penetracji kolejnej, jeszcze „nieodkrytej” ścieżki. Na Rysiankę wracaliśmy przy chmurnym niebie zapowiadającym coś niemiłego, ale skończyło się na chwilowym niepokojem, już przed wieczorem rozchmurzyło się. Z ciekawością czekałem na opisywany niedawno w NS odcinek szlaku z łańcuchem, by dokładnie przyjrzeć się temu miejscu. Krótki, bo krótki, ale faktycznie jest to ciekawy kawałek, jak na Beskidy wyjątkowy.

Jako że był to sobotni wieczór, schronisko zapełniło się turystami. Chyba był komplet. Opodal stało też kilka namiotów. Niedzielny ranek zapowiadał dobrą pogodę i tak też było w ciągu dnia. Naszym celem była bacówka PTTK na



Witaj Rysianko

Krawców Wierchu. Graniczny szlak od Trzech Kopców wydawał mi się kiedyś mało ciekawy, wręcz nudny. Do tej pory omijałem go z daleka. Jakże się myliłem! Przejście okazało się atrakcyjne, szczególnie odcinki poprzedzające wejście na Grubą Buczynę (1132 m) od Wilczego Gronia (964 m) do Wielkiego Gronia (1076 m) i końcówka podejścia. Po drodze spotkaliśmy chyba z osiem – dziesięć osób, w tym czteroosobową rodzinę na rowerach. Dalej z Wielkiej Buczyny na halę do bacówki to już prawdziwy relaks. Z hali zachęcający widok w kierunku Wielkiej i Małej Rycerzowej dominującej w zachodniej części panoramy. Przy schronisku kręciło się kilkanaście osób, w tym kilku rowerzystów, Słowaków lub Czechów. Zostajemy w bacówce na noc. Na Krawculi nocowałem ho, ho..., albo i dawniej, tym bardziej chciałem odwiedzić to miejsce i pokazać je moim chłopcom. Jak do tej pory wyprawa bardzo się im podobała. Kilka szlaków znali z poprzednich wyjazdów, ale trasa uzupełniona o nowe odcinki okazała się interesująca także dla nich.

Cdn.
Juliusz Wyślouch

Krótko przez Długą

Tytułowa ostańcowa Długa (656 m) nie cieszy się taką popularnością turystów, jak sąsiedni Chelmiec (851 m), czy choćby Trójgarb (778 m). Sam szczyt, trudno dostępny, nie jest punktem widokowym. Poza dość gęstym lasem nie ma na nim żadnych atrakcji. Co innego okolice tego wzniesienia. To świetne i darmowe punkty widokowe. Opisywana trasa pozwala zaliczyć najatrakcyjniejsze z nich. Czas potrzebny do przejścia tej liczącej 13 km pętli w warunkach letnich bez przerw to 4.10 godz.

Startujemy przy szczawieńskiej pijalni wód mineralnych. Od niej wzdłuż ciągu zabudowy: pięknej hali spacerowej, budynku tzw. Białej Sali, Teatru Zdrojowego przez deptak w Parku Zdrojowym im. H. Wieniawskiego, kierujemy się do jego bramy. Dalej równie gwarnym w letnie dni deptakiem – ul. Kościuszki, zdążamy lekko pod górkę do skrzyżowania, skąd do ulic: Solickiej, Kolejowej i Bocznej. Nas interesuje ta ostatnia. Żeby do niej dojść, skręcamy w lewo do przejścia dla pieszych i nim na drugą stronę ul. Solickiej. W prawo i do góry w lewo. Rozpoczynamy podejście ul. Boczna, dalej przechodzącą w ul. Prusa. Wiedzie tędy niebieski szlak często wybierany jako trudniejszy wariant wejścia na Chelmiec. My wędrować będziemy nim do pętli autobusowej na wałbrzyskim Konradowie. Formalnie ta część Szczawna-Zdroju, gdzie jesteśmy, to Nowe Szczawno. Nazwa ta nie jest jednak używana. Po 15 min. od pijalni za naszymi plecami pierwsze widoki. Tu już wałbrzyskogórskie zbocze masywu Wzgórza Gedymina (532 m) – tak oficjalnie się nazywa (!), z zabudowaniami wałbrzyskiego Białego Kamienia. Kilka metrów dalej szlak prowadzi obok cmentarza. Na wprost, nieco w dali, widok jednej z pamiątek górnictwa węglowego w Zagłębiu Wałbrzyskim – dawny szyb „Tytus”. Strzałka szlaku nakazuje odbić w prawo. Z lewej widoczna okazała kopuła lakkolitowego Chelmea – niegdyś uznawanego za najwyższy szczyt Gór Wałbrzyskich. Wkrótce zza szpaleru drzew wychodzimy na otwarty i atrakcyjny widokowo teren. Jesteśmy tuż obok ładnej, wzniesionej na pocz. XX w. kaplicy. Prócz widoku Masywu Trójgarbu, m.in. z trzema kulminacjami tegoż wzniesienia, widać Węgielnika (621 m) i Strumycą Górę (591 m). Na prawo od niej za doliną Czyżynki wyrasta Sas (515 m). Wzniesienie to uchodzi za najwyższy szczyt Pogórza Wałbrzyskiego. Warto tu zaznaczyć, że praktycznie cała trasa przebiega w granicach Gór Wałbrzyskich. Tylko jej fragment w okolicach Dworzyska można zaliczyć do Pogórza Wałbrzyskiego. Część zdrojowa Szczawna-Zdroju leży raczej na obszarze Gór Wałbrzyskich. Są jednak i inne poglądy w tej sprawie.

Niebieski szlak sprowadza dalej wydeptaną ścieżką łagodnie w dół w stronę widocznych zabudowań. To już Wałbrzych, ściślej: Konradów. Przechodzimy pod wiaduktem na pozbawionej torowiska dawnej linii kolejowej Szczawienko – Meziměstí. Swego czasu jeździły po niej tylko pociągi pospieszne, a linia jeszcze wcześniej była pierwszą zelektryfikowaną na Śląsku. To już historia. Za wiaduktem (tu uwaga na pojazdy!) stajemy na równie historycznej już pętli autobusowej – przez wiele lat dla jednej tylko linii – nr 10. Historycznej, albowiem po sporych, jak na skalę Wałbrzycha, zmianach w komunikacji miejskiej dokonanych pod koniec 2012 r., dojeżdżają tu, tyle że o różnych porach dwie linie – 8 i 10. Mimo to, rzadziej niż przed zmianami. Do pętli od pijalni w Szczawnie 20 min.



Na szczycie Długiej

Na szczycie Długiej

Szlak wiedzie prosto. My w prawo ul. Szarych Szeregów, bez znaków. Początkowo prawie niezabudowana uliczka wiedzie po płaskim terenie. Po chwili znów pod górkę. Tu zwarta zabudowa. Z lewej budynek pracowni naukowo-badawczych Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy. Nieco wyżej warto zerknąć na budynki nr 16 i 21 z ciekawymi przejściami na podwórza. Mijamy z lewej dwa domy jednorodzinne. Konradów to dość spore ich skupienie w Wałbrzychu. Jesteśmy na granicy lasu. To także granica Wałbrzycha. Najludniejsze miasto Sudetów opuszczamy już na dobre, choć panoramę jego północnej części będzie dane jeszcze zobaczyć. Tymczasem ponownie jesteśmy w granicach Szczawna-Zdroju. Idziemy prosto szerokim leśnym duktem, nadal bez znaków. Wybieramy drogę ze szlabanem. Odtąd wije się ona łagodnie w dół, nieco skręcając cały czas lekko w lewo. Po 7 min. (500 m) od granicy lasu do naszej drogi dochodzi z prawa skos inna. Wiedzie nią czerwony szlak rowerowy, którym posiłkować się będziemy na sporym odcinku. Wędrujemy prosto. Szeroki dukt trawersuje zbocza bezimiennego wzniesienia (573 m), zwanego przed 1945 r. Sand-Berg. Przetłumaczymy to jako Piaskowa Góra. Na jego zboczach, jak i na wielu w okolicy, działały dawniej kopalnie węgla kamiennego. Śladów pamiątek górniczych, czego pewnie byśmy się nie spodziewali, jest tu cała masa. Dukt wije się łagodnie coraz bliżej zboczy Chełmca. Nim do nich dojdziemy, miniemy z lewej sporą polanę. Na skraju plansza informacyjna. Nieco dalej rozwidlenie dróg. My dalej za czerwonymi znakami rowerowymi, znów łagodnie do góry. Trawersujemy zbocze małej górki, sąsiadującej z dawną Sand-Berg i przez dolinę potoku z Chełmcem. Z lewej kolejna plansza informacyjna i jesteśmy na skrzyżowaniu leśnych duktów przy kolejnej z tablic. Dotąd 55 min.

Szumi tu wspomniany potok. Oficjalnie to źródliskowy ciek Szczawnika, choć trudno o jednoznaczną odpowiedź, czy tak jest w istocie. Lokalizacja jego źródeł do dziś budzi spore kontrowersje. Na skrzyżowaniu odbijamy za znakami czerwonymi w prawo. Z lewej towarzyszy może źródliskowy Szczawnik. Spływa wieloma strużkami ze stoków Chełmca, na zboczach którego wiedzie nasz szeroki dukt. Po 15 min. od skrzyżowania z lewej dochodzi zielony szlak. Teraz to on pokieruje dalej. Skręcamy w prawo. Jesteśmy w rejonie przełęczy oddzielającej Chełmiec od Długiej. Szlak wiedzie tu dość wąską ścieżką. Po kilkunastu metrach zza drzew wylania się polana. Warto dojść na jej skraj (uwaga – teren podmokły!). Warto, bowiem z jej skraju, gdzie początek bierze Czerwony Strumień, w oddali majaczy na horyzoncie najwyższy szczyt Sudetów – Śnieżka (1602 m). Wracamy na ścieżkę ze znakami zielonymi. Tylko krótko wędrujemy dalej za nimi. Po chwili odbijamy w prawo skos w małą dróżkę, zaraz przechodzącą w ścieżkę i bez znaków wspinamy się po zboczu Długiej. Mijamy z lewej paśnik, zaraz też z lewej ogrodzenie. Tu ścieżka prawie zanika. Nie przejmujemy się tym jednak i dalej prosto, łagodnie do góry. Po chwili znów jest bardziej czytelna. Wędrujemy tak, aż do przewyższenia pod wierzchołkiem. Tam ścieżka skręca pod kątem prostym w lewo, zaraz też pod sporym kątem w prawo i ponownie lekko już w prawo. Po tym zaczyna opadać w dół. Kto chce stanąć na szczycie Długiej, musi tu odbić w prawo. Mimo że to zaledwie ok. 60 m w linii prostej, stąd dotrzeć tam niezwykle trudno. Brak ścieżki i brnięcie między rozłożystymi drzewkami oraz leżącymi gałęziami. To droga na najwyższy punkt na opisywanej trasie. Dość trudno go znaleźć. Wytrwali poznają to miejsce po stojącym tam kamiennym słupku. Tak wygląda szczyt Długiej. To niejedna Długa w Górach Wałbrzyskich. Inne wzniesienie z taką nazwą wyrasta nad zabudowaniami wałbrzyskiego Sobięcina. Ścieżka od punktu, gdzie można odbić na szczyt, sprowadza teraz dość stromo w dół. Nie rozpędzamy się zbyt (ścieżka wyraźnie nadal w dół!). My w lewo na inną ścieżkę. Ta po chwili zupełnie zanika. Jednak idziemy nadal w dół bez niej. Zaraz osiągamy dukt z zielonym szlakiem, z którego zboczyliśmy, aby wspiąć się na Długą. Tam w prawo. Dotąd 1.45 godz. Dukt przekracza szlaban i prowadzi skrajem lasu. Ten z prawej. Z lewej spore łąki, fragmentarycznie świetne punkty widokowe. Rzuca się w oczy charakterystyczny Mniszek (704 i 710 m) w Górach Wałbrzyskich,



Mniszek z zielonego szlaku na zboczu Długiej

a dalej Masyw Dzikowca z nim samym (836 m), już w Górach Kamiennych. Mijamy z lewej ruinę budynku. To jeden z kilku dawnych domów prawie wyludnionego, ale też nigdy niezbyt ludnego (w szczytowym okresie nieco ponad 130 mieszkańców) Lubominka. Dziś formalnie w granicach miasta Boguszów-Gorce. Zaraz skręcamy w prawo, tylko chwilę łagodnie pod górkę. Kolejny skręt w prawo i już łagodnie w dół. Kawalek dalej w lewo. Wkrótce z lewej ogrodzenie. Na drodze, szczególnie



Masyw Trójgarbu znad zabudowań Lubomina

po deszczach może pojawiać się strumyczek. To jeden z wielu wysięków wypływającej w tym rejonie Czyżynki, znanej może niektórym już jako spory potok spod ruin zamku Cisy. Po 15 min. od ruiny domu w Lubominku jesteśmy na kolejnym skrzyżowaniu. Widokowym, więc warto tu o przerwę. My pomaszujemy zgodnie ze szlakiem w lewo w dół. Warto jednak pójść kilka kroków drogą w prawo. Tam kolejny świetny punkt widokowy. Z lewej Masyw Trójgarbu z Trójgarbem, Modrzewcem (602 m), Węgielnikiem i Strumycką Górą. Dalej w prawo Sas, przed nim pokryta użytkami rolnymi Kamienista (536 m). Na tę ostatnią nie ma dojścia. Szkoda, z pewnością jest niezłym punktem widokowym. Na prawo od Sasa Park Ułanów Legii Nadwiślańskiej na płaskowyżu historycznego, związanego z bitwą z 1807 r., Czerwonego Wzgórza (456 m). Za nim rozległe lasy Książańskiego Parku Krajobrazowego. W tle fragmenty Przedgórze Sudeckiego. No i wreszcie najbardziej na prawo północna część Wałbrzycha z blokami Podzamcza, zupełnie inną zabudową Szczawienka i niewielką częścią, głównie blokowej Piaskowej Góry. Rzuca się w oczy charakterystyczny komin ciepłowni C-3, górujący nad zabudowaniami Szczawienka.

Szlak zielony prowadzi od wspomnianego skrzyżowania w dół. Przekracza (bez przeprawy!) jeden ze źródłkowych cieków Czyżynki. Trochę błota, ale do przejścia. Zaraz też doprowadza do skrzyżowania z szosą łączącą m.in. Szczawno-Zdrój z Jabłowem. Tam w prawo. To względnie niebezpieczny odcinek trasy. Musimy uważać na jadące tu niekiedy szybko pojazdy. Poboczem, po 7 min. osiągamy tabliczkę z nazwą „Lubomin”. Po chwili pierwsze zabudowania tej wsi. Widoczna jest też nieco dalej wieża kościoła. Wzniesiony został pierwotnie dla ewangelików około 1600 r. Szlak wkrótce odbija w lewo do góry. Z tego kierunku sprowadza zaś szlak żółty, który poprowadzi do samego Szczawna. Mijamy z prawej przystanek autobusowy, z lewej szkołę. Wkrótce z prawej na słupie energetycznym znak, nakazujący odbić w prawo. Rozpoczynamy ostatnie na trasie podejście pod górę. Asfaltem chwilę prosto, zaraz nim w lewo skos. Na horyzoncie dwa wielolokalowe budynki. Prawie jak miejskie kamienice. Przy nich koniec asfaltu. Gruntowa dróżka prowadzi dalej łagodnie do góry. Za nami kolejne widoki Masywu Trójgarbu, z prawej zaś Masywu Chełmca. Z lewej ogrodzenie. Po chwili droga łagodnie opada w dół. Przecinamy rozebraną, dawną linię kolejową, tę samą, co na Konradowie. Za nią szlak żółty, prowadzący prosto, mało uczęszczany przez piechurów. Świadczy o tym brak przeddeptanej ścieżki na mocno zarośniętej trawą drodze polnej. Po deszczach dość mokro i grząsko. Zaraz mostek nad nikłym potoczkiem – dopływem Czyżynki. Wkrótce szlak odbija nieco w prawo. Droga nadal dość zarośnięta. Zaraz jednak te kłopoty ustają. Szlak prowadzi przez las. W nim na skrzyżowaniu dróg w lewo. Dalej prosto, mijając niewielkie skałki oraz stół z ławami. Już przy nim widać, że to skraj lasu. Znak, że docieramy w rejon szczawieńskiego Dworzyska. Osiągamy asfalt. I już cały czas nim (al. Spacerową). Z prawej Park Szwedzki. Dalej idąc po 15 min. od Dworzyska jesteśmy na skrzyżowaniu ulic: Kolejowej, al. Spacerowej i Wojska Polskiego. Tam na pasach przez Kolejową i już bez znaków ul. Wojska Polskiego. Mijamy z prawej Dom Zdrojowy (dawny Grand Hotel, później Kurhotel *Schlesischer Hof*), z lewej między innymi sanatorium „Dąbrówka”. Po chwili dochodzimy do pijalni wód mineralnych.

Bartosz Skowroński

Politechnika Kijowska

Jest w Kijowie uczelnia, która już od lat zajmuje pierwsze miejsce w rankingu dwustu uniwersyteckich uczelni Ukrainy i która od początku miała wiele wspólnego z Polską. Powołana została w 1898 r. ukazem cara Mikołaja II wraz z politechnikami w Warszawie i Sankt Petersburgu. Dyrektorem Kijowskiego Instytutu Politechnicznego został prof. Wiktor Kirpiczow (1845-1902), poprzednio pracujący w Petersburgu i Charkowie. Budowę rozpoczęła polska firma budowlana Kuksz i Liedke z Warszawy. Dwa podstawowe pawilonowe gmachy wzniesiono według projektu petersburskiego architekta Jeronima Kitnera (1839-1920) na wzgórzu, na terenie byłego poligonu wojskowego. Fasady budynków wykonano wyłącznie z cegieł, wieńcząc okna łukami i rozdzielając je półfilarami z jasnej cegły. Czołową fasadę gmachu głównego w węzłach ograniczono wieżami. Piękno tej architektury ceglanej widać we wnętrzach obydwu budynków dydaktycznych, zwłaszcza w sali rady naukowej, amfiteatralnych audytoriach i głównych klatkach schodowych.

Jak zapisano w protokole pierwszej obrony prac dyplomowych przed komisją egzaminacyjną pod przewodnictwem Dmitrija Mendelejewa w 1903 r., uczestniczyli w niej dwaj studenci Polacy: Jan Sianożęcki-Wojnicz bronił pracę „Projekt młyna”, a Piotr Zwoliński-Bedło pracę „Projekt odlewni rur żeliwnych”. Później, gdy w wyniku wystąpień i strajków studenckich władze carskie zakazały używania języka polskiego w Politechnice Warszawskiej, wielu studentów protestując wybrało studia w Kijowie. I tu uczono po rosyjsku, ale nie była to Polska. Po 1918 r., gdy w Kijowie trwały niekończące się walki, młodzi absolwenci Politechniki Kijowskiej zaczęli wracać do wolnej Polski. W 1922 r. założyli w Warszawie organizację jednoczącą wychowanków tej uczelni, działającą do dziś. Wśród z górą 300 przedwojennych polskich absolwentów tej Politechniki było wielu wybitnych uczonych i inżynierów. Czternastu z nich wymieniono w *Słowniku Biograficznym Techników Polskich*, którego 24 tomy wydała dotychczas Naczelna Organizacja Techniczna. Jednemu z nich, prof. Wojciechowi Świętosławskiemu, który był fizykochemikiem światowej sławy, Politechnika Kijowska w 2013 r. wzniosła na swoim terenie pomnik. To pierwszy pomnik polskiego uczonego i działacza państwowego w Kijowie, nie licząc pomnika (2004) architekta Władysława Horodeckiego w pasażu przy Chreszczatyku.

W czasie wojny od 1941 r. Politechnika była na ewakuacji w Taszkencie wraz z wieloma kijowskimi zakładami przemysłowymi. Studenci na zajęcia chodzili wieczorem, a w dzień montowali maszyny w ewakuowanych zakładach, budowali kanał wodny, elektrownie wodne, pracowali na polach Uzbekistanu. Kijowscy naukowcy pomagali przedsiębiorstwom produkującym dla frontu. Automatyczne spawanie elektryczne Jewgienija Patona (późniejszego twórcy spawanego mostu na Dnieprze w Kijowie) pozwoliło na zwiększenie produkcji czołgów. Wynalazki Siergieja Korolowa (późniejszego twórcy statków kosmicznych) poprawiły zdolność bojową wojskowej techniki



Główny gmach

rakietowej. Po wyzwoleniu Kijowa w 1943 r. studenci i wykładowcy wrócili do przedwojennych budynków, w połowie zrujnowanych. Pierwsze dziesięć lat odbudowywano materialną bazę uczelni, później zaczęło się jej rozszerzanie. Szczególnie szybki wzrost tej bazy nastąpił, gdy rektorem w 1971 r. został prof. Grigorij Denisenko ze Lwowa. W ciągu piętnastu lat każdy fakultet otrzymał oddzielny budynek, zbudowano gmach ogólnotechniczny, powstała biblioteka z szesnastoma czytelniami, dom kultury, kompleks sportowy z 50-metrowym basenem pływackim, zbudowano nowe domy studenckie. Następnym rektorem (od 1987 r.) prof. Piotr Tałanczuk zreorganizował



Inauguracja roku akademickiego

uczelnę, wprowadzając zmiany w procesie kształcenia i zmiany organizacyjne na wzór uczelni zachodnioeuropejskich. Gdy w 1992 r. został ministrem oświaty Ukrainy (szkolnictwo wyższe nie było wyodrębnione), rektorem wybrano Mychajłę Zgurowskiego, który kieruje uczelnią do dziś. Był on także jedną kadencję ministrem oświaty (1994-1999), ale nie zrzekł się wówczas stanowiska rektora.

Wśród wybitnych ludzi techniki, związanych z Politechniką Kijowską, byli prócz wymienionych wyżej Jewgienija Patona (1870-1953) i Siergieja Korolowa (1906-1966): Stepan Timoszenko (1878-1972) – mechanik, pracował po 1922 r. w USA, po 1960 r. w RFN, stworzył teorie sprężystości i drgań stosowane w kosmonautyce; Aleksandr Winter (1878-1958) – energetyk, budował elektrownie w ZSRR, także w Zaporozżu; Iwan Bardin (1883-1960) – metalurg, budował huty w Zagłębiu Donieckim i Kuźnieckim; Igor Sikorski (1889-1972) – znany konstruktor lotniczy, w 1923 r. założył w USA kompanię Sikorsky AEC budującą śmigłowce; Aleksandr Mikulin (1895-1985) – wybitny konstruktor silników lotniczych do samolotów Antonowa, Iljuszyna i Tupolewa; Archip Lulka (1908-1984) – znakomity konstruktor silników turboodrzutowych do myśliwców; Lew Luljew (1908-1985) – główny konstruktor armat przeciwlotniczych i rakiet; Władimir Czelo-miej (1914-1984) – uczony konstruktor aparatów kosmicznych, rakiet i sputników. Większość z tych uczonych upamiętniono w uczelni pomnikami.

Politechnika Kijowska, od 1995 r. szczyca się statusem narodowego uniwersytetu technicznego, należy do grona największych uczelni technicznych Europy. Studiuje w niej ponad 34 tys. studentów, w tym ponad 400 zagranicznych. W 30 budynkach pracują 44 instytuty i fakultety. Studenci mieszkają w 22 domach studenckich na 10 tys. miejsc. W uczelnianym miasteczku akademickim o powierzchni 160 ha codziennie przebywa prawie 50 tys. ludzi, jak w niejednym mieście. Kształci się tu inżynierów specjalistów dla różnych dziedzin gospodarki kraju, także dla tak nowoczesnych, jak telekomunikacja,



Pomnik W. Świętosławskiego

informatyka, biotechnologia, lotnictwo czy kosmonautyka. Uczelnia prowadzi studia w ponad stu specjalnościach technicznych, ale także studia ekonomiczne, prawnicze i filologiczne. Działa instytut wojskowy. Uniwersytet zapewnia studia bezpłatne, opłacane z budżetu Państwa, i studia płatne. Specjaliści, bakaławrzy (licencjaci), magistry i doktorzy, jacy go opuszczają, pracują we wszystkich państwach WNP. Ponad 7 tys. wyjechało do 112 krajów świata. Wśród ponad 300 powojennych polskich stypendystów, absolwentów Politechniki Kijowskiej, jest wielu naukowców, działaczy gospodarczych i społecznych.

Uniwersytet ma kontakty z blisko setką uczelni świata, w tym z ośmioma polskimi. Działa w nim (od 2010 r.) Centrum Ukraińsko-Polskie do organizacji współpracy uczelni, wykłada się język polski w zastosowaniu do tłumaczeń technicznych. W 2013 r. powstało Ukraińsko-Polskie Centrum Doskonalenia Technologii Odnawialnych Źródeł Energii. Uniwersytet uczestniczy w programach naukowych Unii Europejskiej, np. TEMPUS (TACIS). Działają w nim agendy naukowe ONZ, UNESCO. Uczelnia realizuje projekty naukowo-badawcze dla firm USA, Niemiec, Chin, Japonii i innych. Technopark dba o wdrożenia rozwiązań technicznych tu powstających. Natomiast muzeum politechniczne z oddziałem lotniczo-kosmicznym upowszechnia wiedzę techniczną wśród społeczeństwa, zwłaszcza najmłodszego. W ostatnich dziesięciu latach z powodu niżu demograficznego spadła liczba studentów z 41 do 34 tys., ale jednocześnie wzrósł poziom jakościowy uczelni, czego skutkiem jest czołowe miejsce w ciągu ostatnich pięciu lat w rankingach uniwersyteckich uczelni Ukrainy, przeprowadzanych zgodnie z kryteriami stosowanymi w Europie.

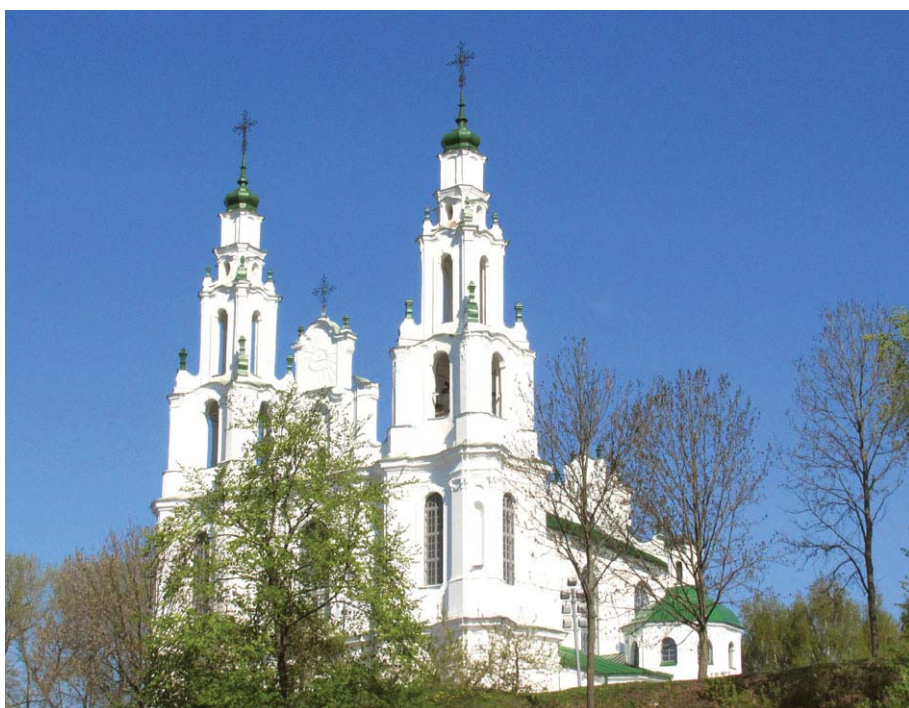
W 2013 r. rektor Mychajło Zgurowski za współpracę z Polską został odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi.

Janusz Fuksa

Połock – na kresach (Biało)Rusi

Słabo zurbanizowaną i biedną Białoruś dotykały wielokrotnie w przeszłości różne klęski, a zwłaszcza wojenne, szczególnie podczas II wojny światowej. Nic dziwnego, że kraj ten nie obfituje w zabytki architektury – z wyjątkiem dwóch miast. Tak, jak Grodno świadczy nimi o polskich tradycjach i historii zachodniej części tego państwa, tak Połock stanowi świadectwo rodzimej, ruskiej (częściowo tylko rosyjskiej).

Bliżej nieznaną słowiańską osadą powstała u sątoka Połoty i Zachodniej Dźwiny, zapewne nie bez związku z najazdami wikingów (Waregów), zaliczana do najsilniej w tym rejonie umocnionych. Wymieniono ją już w 862 r. w znanej *Powieści minionych lat*, ówczesnej kroniki. Miejscowość i jej okolice przechodziły burzliwe losy różnego władztwa: była stolicą samodzielnego księstwa, należała do Rusi Kijowskiej, Litwy, krótko do Moskwy (w 1563 r. wojska Iwana IV Groźnego utopiły w rzece wszystkich Żydów!, w 1705 r. Piotr I kazał wymordować wszystkich bazylianów – na Wschodzie nic się nie zmieniło), Stefan Batory odbił dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a w



Kościół św. Zofii

1772 r. zagrabiła Rosja. Wtedy też miasto stoczyło się do pozycji prowincjonalnego miasteczka, gdzie na zachodnich rubieżach rosyjskiego imperium. Jego gospodarczą rolę zaczął przejmować dzięki przemysłowi Nowopołock, rozwinięty nieco na zachód. Dopiero w 1991 r. ludność może żyć we „własnej” Białorusi.

Mimo częstych i głębokich zniszczeń jest co w tym mieście podziwiać, oddalając się nieco od reprezentacyjnego bulwaru w centrum, między monumentalnym wręcz hotelem „Dźwina” a pl. Swobody (Wolności). Na tym drugim wznosi się okazały pomnik poświęcony walce z Napoleonem w latach 1812-1813, nieco na północ odeń, poniżej zachowanych wałów z czasów



Pomnik 23 Poległych

Iwana IV wokół starego grodu, Połotę przekracza Czerwony Most. Swą nazwę zawdzięcza on krwawym walkom o jego opanowanie w październiku 1812 r., podczas których zginęło 14 tys. żołnierzy. Trzeba wrócić i krętymi uliczkami dojść do położonego na skarpie wzgórze u wspomnianego sątoku pięknej katedry św. Zofii. Zbudowana w latach 1044-1066 uchodziła za jedną z najwspanialszych świątyń Rusi Kijowskiej, będąc wzorowana na Hagia Sophia w Konstantynopolu. Niestety, Piotr I (Wielki!) zburzył ją w 1710 r., ale Polacy odbudowali w latach 1748-1765 jako utrzymany w bieli barokowy kościół katolicki. Jego fasada od strony Dźwiny prezentuje się niezwykle malowniczo. Obecnie nadal wykorzystywany jest jako muzeum i sala koncertowa. Tuż obok ustawiono Kamień Borysa, przeniesiony do miasta w 1981 r. To niezwykle zabytek, bowiem zachowała się na nim wykuta inskrypcja z XII w., zawierająca, obok krzyża i innych symboli chrześcijańskich, treść: *Panie, błagam, dopomóż Borysowi, twemu słudze*. Wykonano to na polecenie Wsiesława Briaczisławicza, syna Borysa.

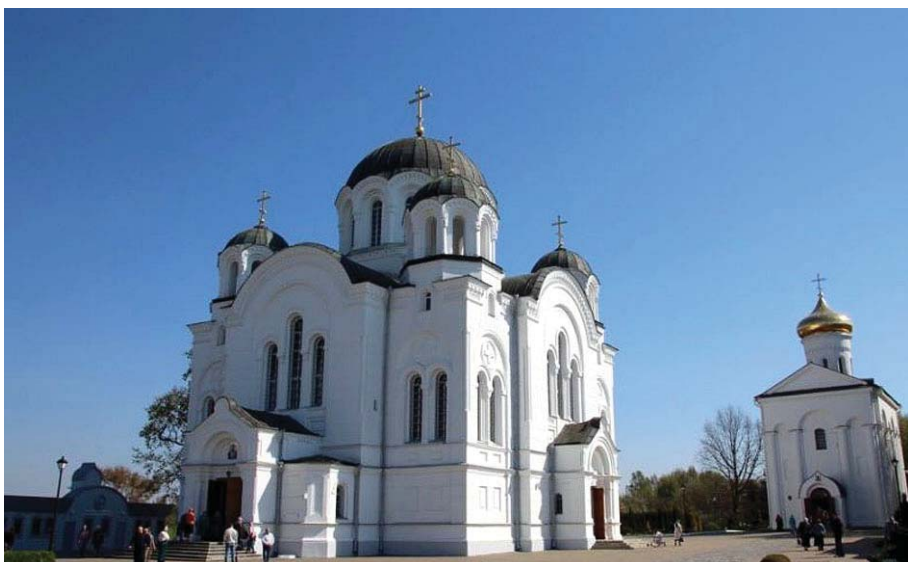
Schodząc w dół trasa spaceru wiedzie w górę rzeki i mija neogotycki dawny kościół ewangelicki (luterański), w czasach ZSRR przekształcony w Muzeum Historii i Kultury Regionu. Parę kroków dalej wznosi się Monaster Objawienia Pańskiego z 1582 r., mieszczący dziś Bibliotekę i Muzeum im. Szymona Połockiego, duchownego, poety rosyjsko-polsko-łacińskiego i twórcy drukarstwa na tych obszarach, a obok – malownicza cerkiew. Niemal po przeciwnej stronie ulicy widnieje nieduży, gustowny wczesnobarokowy pałacyk z pocz. XVII w., nazwany Domem Piotra Wielkiego. Car ten miał w nim kwaterę latem 1705 r. podczas wojny północnej. Blisko mostu na Dźwinie postawiono przy bulwarze oryginalny Pomnik 23 Obrońców – 3.07.1944 r. tyłu żołnierzy I Frontu Bałtyckiego sforsowało rzekę tworząc przyczółek; nie utrzymali go, wszyscy polegli (pamiętajmy, że Białoruś w tamtej wojnie utraciła jedną czwartą ludności!).



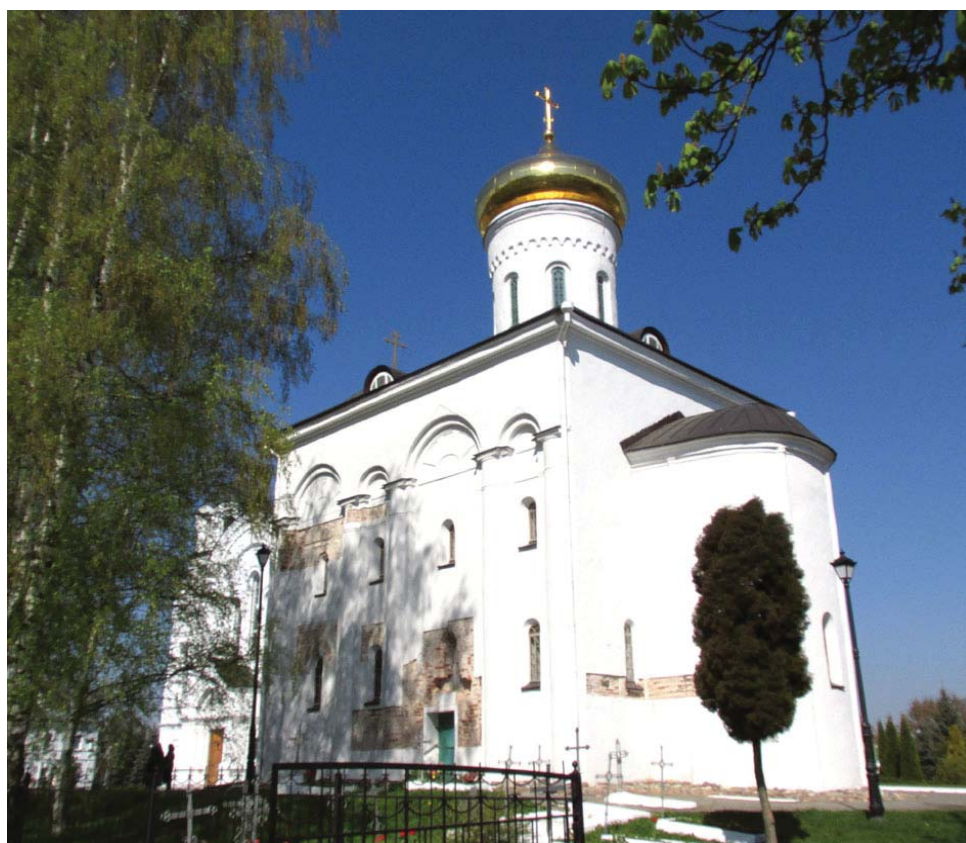
Geograficzny środek Europy

Szczególnie ważne miejsce – tak ze względów kultowych, jak i zabytkowych, jest położony w północnej części centrum, za torami kolejowymi, Monaster św. Eufrozyny, która żyła w

XII w. Po wejściu przez bramę w obronnej wieży otwiera się widok na rozległy obszar. Na pierwszym planie znajduje się duża cerkiew Podwyższenia Krzyża Pańskiego w randze soboru, w czasie II wojny światowej wykorzystywana przez Niemców na przetrzymywanie jeńców radzieckich. Po 1989 r. pięknie odnowiona, wyposażenie wnętrza rozbudowanej bryły z kilkoma lśniącymi w słońcu kopułami jest oczywiście współczesne. Ściągają tu liczni wierni prawosławia, pielgrzymki, zachowujący się już od wejściowej bramy z rzucającą się w oczy dewocją. Na miejscu można też zaopatrzyć się w „świętą” wodę.



Cerkiew Podwyższenia Krzyża Pańskiego a w głębi cerkiew Przemienienia Pańskiego

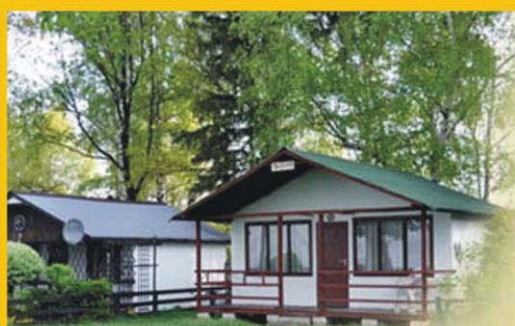


Cerkiew Przemienienia Pańskiego

Najcenniejsza jest jednak nie-duża cerkiew Przemienienia Pańskiego z 1161 r., jeden z najcenniejszych zabytków Białorusi, ze starymi freskami. W niej spoczywają szczątki świętej, sprowadzone w 1910 r. z Kijowa, otoczone wielkim do dziś kultem. Być może to sprawiło, że była to jedyna w mieście czynna cerkiew nawet w czasach radzieckich.

To najważniejsze i najciekawsze obiekty tego liczącego około 90 tys. mieszkańców miasta. Jeśli tego mało, to można jeszcze oddać się rozkoszowaniu przyrodą w potężnym kompleksie leśnym, ciągnącym się daleko na wschód, po granicę w Rosję.

Krzysztof R. Mazurski



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Wieczorna Walońska Włóczęga

Stowarzyszenie Zdolna Dolna zorganizowało w sobotę 7 czerwca br. V jubileuszowe przejście Szlakiem Walońskim im. Juliusza Naumowicza. Ze względu na późną porę wędrówki (godz. 17) nazwano je Wieczorną Walońską Włóczęgą. Zanim wyruszone na szlak Kanclerz Sudeckiego Bractwa Walońskiego – Przemysław Wiater – udzielił głosu gospodarzowi miasta, burmistrzowi Szklarskiej Poręby Grzegorzowi Sokolińskiemu, który, stosownie do sytuacji, nie zajął swoją wypowiedzią zbyt dużo czasu. Najważniejsze, co powiedział, to to, że idea walońska stanowi bardzo dobry pomysł i, że ze względu na jej integracyjny charakter, powinna być kontynuowana.

Przy Chacie Walońskiej czekała Anna Naumowicz – Mistrz SBW, która w imieniu nieżyjącego już Juliusza Naumowicza (Wielkiego Mistrza) obdarowała Przemysława Wiatera *Zwisem Walońskim Pozytywnym*. Ma to być zachęta dla niego do nieustawiania w prowadzeniu dalszych działań na rzecz Bractwa. Kryształ górski, z którego wykonano Zwis, nie jest takim zwykłym minerałem. Oprócz swojego znaczenia magicznego, ten akurat okaz ma jeszcze pozytywną moc pochodzącą od Wielkiego Mistrza. On to bowiem dawno temu, gdy znalazł ten piękny kryształ, zabrał go na Śnieżkę, gdzie poświęcił w kaplicy św. Wawrzyńca, a następnie ukrył w Chacie Walońskiej. Kontaktując się z zaświatów z Anną zdradził jej miejsce ukrycia kryształu i poprosił o jego przekazanie Kanclerzowi. Do Zwisu została dodana także niewielka objętościowa, ale jakże cenna buteleczka zawierająca cykute, będącą leczniczym napojem magicznym.

Przejście zakończono przy DW „Jaś”. Tam poczęstowano wszystkich zwyczajową kromką chleba ze smalcem i ogórkiem oraz kielbaską, którą można było upiec przy wielkim ognisku. Na dobry początek wystąpił zespół *Chszonszcze* Grzegorza Żaka. Gwoździem programu było przedstawienie słowno-muzyczne o Duchu Gór. Trzeba przyznać, że jego wyjście z białego dymu zrobiło duże wrażenie na obecnych widzach. Po rozmowie zarządził on trzy próby. Dwie pierwsze przebiegły bez problemów. Jednak do trzeciej, polegającej na sięgnięciu do worka ze żmijami, nie znalazł się odważny. Niestety, odważnej niewieście, która podjęła to wyzwanie, nie pozwolono na tak duże ryzyko. W końcu znalazł się śmiały. Nie miał on jednak zbyt pewnej miny. Po odwiedzinach takiego gościa podjęto próby puszczenia podgrzewanych ciepłym powietrzem balonów. Początkowo szło to niezgrabnie, później coraz lepiej, aż w końcu na niebie pojawiły się dziesiątki świecących światełek porywanych przez wiatr i unoszonych w kierunku Piechowic. Pozostali jeszcze uczestnicy przejścia bawili się przy ognisku do białego rana.

Krzysztof Tęcza



Thermal Park Sirava

Pod tą nazwą otwarty został 15 czerwca br. najnowszy termalny park wodny na Słowacji, położony bezpośrednio przy brzegu jednego z największych słowackich zbiorników wodnych Zemplinska Sirava, koło miejscowości Michalovce, w południowo-wschodniej Słowacji. Jesienią 2014 r. otwarte zostanie Wellness Centrum z różnego rodzaju saunami, jacuzzi, miejscami do wypoczynku i masażu. W pobliżu Thermal Parku Sirava i Zemplinskiej Siravy znajduje się zróżnicowana baza noclegowa dla około 2400 osób (hotele, pensjonaty, domki letniskowe, kempingi). Zbiornik (nazywany potocznie Słowackie Morze) zlokalizowany jest u podnóża wulkanicznych gór Wyhorlat i Niziny Wschodniosłowackiej. Swoją powierzchnią około 33 km² zajmuje trzecie miejsce na Słowacji (przed nim Liptovska Mara i Orawska Zapora). Region Dolny Zemplin należy do najcieplejszych i najbardziej nasłonecznionych regionów na Słowacji. To idealne miejsce do letniego wypoczynku. Oprócz kąpeli wodnych oferuje idealne warunki dla miłośników wędkarstwa i sportów wodnych (jachting, rowery, narty i skutery wodne). Wzgórza Wyhorlackie z najwyższym szczytem Wyhorlat (1076 m) są także wspaniałym miejscem do uprawiania turystyki pieszej.

Sz szczególnie polecamy pieszą wyprawę na słowackie Morskie Oko (jezioro górskie położone na wysokości 618 m) oraz naturalną platformę widokową Sniński Kamień, położoną na wysokości 1006 m. W związku z ciepłym klimatem region słynie również z produkcji wspaniałych win, które warto skosztować wraz z kuchnią regionalną. Więcej informacji na stronach www.thermalparksirava.sk oraz www.sirava.sk.



Ján Bošnovič
Dyrektor Narodowego Centrum
Turystyki Słowackiej w Polsce

Zebranie redakcji „Karkonoszy”

26 czerwca br. w Bukowcu koło Kowar odbyło się zebranie redakcji „Karkonoszy” oraz spotkanie współpracowników czasopisma. Uczestniczyli w nich członkowie zespołu redakcyjnego w składzie: Janusz Korzeń (redaktor naczelny), Witold Szczudłowski (zastępca redaktora naczelnego), Barbara Wieniawska-Raj (sekretarz redakcji), Regina Chrześcijańska (redaktor graficzny), Roksana Knapik; członkowie Rady Redakcyjnej w składzie: Andrzej Raj (przewodniczący Rady), Wojciech Kapałczyński, Arkadiusz Lipin, Iwo Łaborewicz, Jiří Bašta, oraz: Krzysztof Tęcza, Stanisław Firszt, Jacek Falkenberg.

Nowe „Karkonosze”, po trzech miesiącach pracy nad odpowiednią formułą, są już prawie gotowe. Do końca lipca ukaże się pierwszy (podwójny) ich numer. Pismo zostało opatrzone nowym dopiskiem w tytule „Czasopismo Sudetów Zachodnich”. Zmieniono także jego format na A-4 oraz przygotowano nowy, czytelniejszy układ stron. Będą w nim zamieszczane kolorowe zdjęcia w bardzo dobrej jakości. Całość podzielono na poszczególne działy.

Będą to *KARKONOSKIE DONIESIENIA*, a w nich informacje o najważniejszych wydarzeniach w obu parkach narodowych Karkonoszy oraz w Sudetach Zachodnich (zgodnie



z tytułem). Dotyczyć one będą ochrony przyrody, turystyki i rekreacji. Znajdą się także w tym dziale omówienia nowych publikacji. W *ROZMOWACH REDAKCYJNYCH*, jak nazwa wskazuje, będą zamieszczane wywiady z reprezentantami instytucji i środowisk, które mają wpływ na rozwój obszaru. Pojawi się na przykład pytanie o potrzebie planowania ochrony przyrody. Dowiemy się, skąd w ogóle biorą się takie pomysły, czy są one potrzebne i jakie mamy narzędzia, by je realizować. W kolejnym dziale *GŁÓWNE PROBLEMY* przedstawione zostaną autorskie wypowiedzi na wybrane tematy. W dziale *SZTUKA* znajdziemy publikacje omawiające i promujące znanych twórców z regionu. *Dział KARKONOSKIE GMINY* będzie zawierać materiały porównawcze gmin po stronie czeskiej i polskiej. Będą także działy: *PRZYJAZNY BIZNES*, *FORUM*, *W INNYCH GÓRACH*, *HISTORIA I WSPOMNIENIA*, *DOKUMENTY* i *DOBRE PRAKTYKI*. Najobszerniejszym jednak działem będzie *DOBRO WSPÓLNE*. Zajmie on 1/3 całego numeru. Znajdą się w nim artykuły omawiające walory dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego.

W dalszej części spotkania ustalono podstawowe zasady współpracy osób chętnych do dzielenia się swoją wiedzą z innymi. Trzeba dodać, że przynajmniej na razie, będzie to współpraca społeczna. Nie oznacza to oczywiście, że Redakcja nie będzie zamawiała tekstów specjalistycznych. Będą to jednak wyjątkowe wypadki. Najważniejszy w tym wszystkim jest fakt, że znalazła się grupa osób wspierających nowe czasopismo. Pisząc nowe, mam na myśli obecnego właściciela tytułu, czyli Karkonoski Park Narodowy, bo przecież dociekliwy fascynat wie, że „Karkonosze” wkrótce będą obchodziły półwiecze istnienia. Dla jasności dodam, że KPN w swoich działaniach wydawniczych jest wspierany przez Związek Gmin Karkonoskich oraz redakcje czeskiego pisma „Krkonoše Jizerské hory”. Po spotkaniu w Bukowcu jestem pewny, że wkrótce czytelnicy otrzymają do rąk pierwszy w nowej szacie edytorskiej numer Czasopisma Sudetów Zachodnich Karkonosze i że przyjmą go z radością oraz że będą oczekiwać na kolejne numery.

Krzysztof Tęcza

Mijające krajobrazy Lubania 2014

W sobotę 28 czerwca ub. r. miała miejsce impreza zorganizowana w ramach cyklu ogólnopolskich seminariów krajoznawczych „Mijające krajobrazy”. Tym razem były to „Mijające krajobrazy Lubania 2014”. Impreza, jak zwykle, była zorganizowana przez Komisję Krajoznawczą ZG Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego oraz Komisję Krajoznawczą Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Współorganizatorem zostało Miasto Lubań i Łużycki Oddział Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych w Lubaniu. Osobiście za organizację odpowiadał piszący te słowa i Henryk Sławiński z Lubania. Miasto użyczyło na potrzeby spotkania sali w Galerii Łużyckiej, a patronat medialny nad nią objęły Karkonosze, Przegląd Lubański oraz internetowa strona lubań.pl. Seminarium



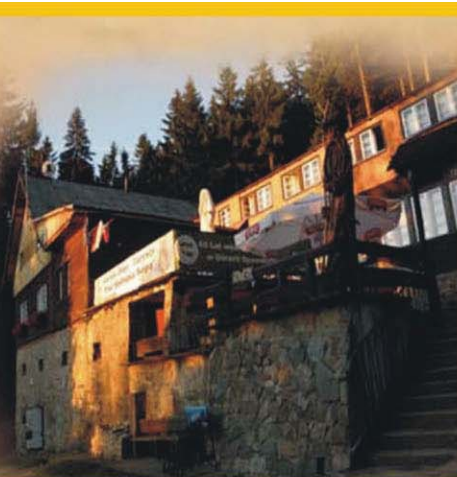
było imprezą towarzyszącą Dniom Lubania i zostało objęte Patronatem Honorowym przez burmistrza Miasta Lubań Arkadiusza Słowińskiego. Podczas spotkania zaprezentowano następujące referaty:

- Janusz Skowroński – „Węgiel brunatny – kopalnie w Zarębie i Siekierczynie”,
- Piotr Kuczniar – „Garnizon wojskowy w Lubaniu. Wojsko, którego już nie ma w krajobrazie Lubania”,
- Zbigniew Madurowicz – „Olszyna meblarstwem stojąca”,
- Tomasz Bernacki – „Przyroda i historia Bazaltów i Kamiennej Góry”,
- Janusz Kulczycki – „Restauracje i hotele Lubania”,
- Michał Sibilski – „Historie kolei w Lubaniu”,
- Krzysztof Tęcza – „Historia jednego obiektu” (altanka przy ul. Dąbrowskiego).

Wykorzystując obecność burmistrza, Krzysztof Tęcza, przewodniczący Krajowego Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa, a zarazem wiceprzewodniczący KKraj. ZG PTTK, wręczył Tadeuszowi Sławińskiemu i Henrykowi Sławińskiemu mianowania na Instruktorów Krajoznawstwa Polski, a Tadeuszowi Sławińskiemu nadto Odznakę Krajoznawczą Polski w stopniu złotym z szafirem, której jest on pięćdziesiątym zdobywcą w historii.

Krzysztof Tęcza

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Rysy w głównej roli

Koniec czerwca i początek lipca tego roku zaznaczyły się w kronikach TOPR jak mało które. Turyści i nie tylko turyści rzucili się na Tatry może niekoniecznie w niespotykanych ilościach, bo pogodny początek lata zawsze przyciągał ludzi w góry, ale w ilościach wystarczających, by przysporzyć ratownikom mnóstwo pracy. Cytowanie toprowskich kronik może się wydawać niektórym nudne, może jednak warto? Gdyby więcej osób wybierających się w góry zaglądało na stronę TOPR pewno niektórzy wyciągnęliby jakieś wnioski. Jakaś niezrozumiała ignorancja, brak wyobraźni, nieostrożność, marne wyposażenie, czyli tzw. czynnik ludzki zadecydowały o dużej ilości wypadków. Słońce, piękna pogoda i wczesowy szyk na Krupówkach przytępiły zmysły niektórym ludziom wychodzącym w góry i to wychodzącym wysoko. Osobliwie wiele osób upodobało sobie Rysy. Z daleka góry wyglądały niewinnie. Turyści tracili rozum oszołomieni pięknem gór, tak mi się wydaje, bo co powodowało, że brnęli trudnym szlakiem w górę nie zważając na stromiznę i zalegający śnieg. Przejdźmy do konkretów. 19 czerwca na szlaku w „rysie” obsunęła się ok. 200 m turystka wpadając na turystę znajdującego się niżej na szlaku. Oboje doznali otarć i potłuczeń, urazu obojczyka i barku. „Tylko” tyle. Helikopter przywiózł na miejsce wypadku dwa zespoły ratowników, którzy zajęli się poszkodowanymi. Chwilę później dotarł sygnał o wypadku pod Kozią Przełęczą, gdzie turystka poleciała po płacie śniegu ok. 150 m. Śmigłowiec poleciał znad Czarnego Stawu pod Kozią. Pechowi turyści zostali odwiezieni do szpitala, wszyscy poszkodowani nie byli odpowiednio przygotowani do poruszania się w zimowych (!), warunkach wysokogórskich.

Następnego dnia podczas schodzenia z Rysów turysta doznał bolesnych skurczów w nogach. Ratownicy dotarli do niego pieszo, podali leki rozkurczowe i sprowadzili na dół. 26 czerwca wieczorem (19.47!) turysta zawiadamia TOPR, że nie wie gdzie jest, wokół mgła i śnieg. Po numerze słupka granicznego ratownicy orientują się, że znajduje się na... Niżnych Rysach. Wystartował śmigłowiec z ekipą ratowników, którą dowiózł nieco powyżej Czarnego Stawu. Pogoda nie pozwalała na desant wyżej, ratownicy wyruszyli na Niżne Rysy i dotarli do Turysty o 22.40. Po ogrzaniu asekurując go sprowadzili „turystę” (cudzysłów nieprzypadkowy) do Morskiego Oka, gdzie i dotarli o godz. 4 rano. Skąd cudzysłów? Ów „turysta” wybrał się na Rysy w zimowych warunkach w „adidasach” i posuwał się pod górę czepiając się wystających ze śniegu skałek. Jak to się skończyło, już wiemy. Co do „adidasów” to furorę zrobił filmik skrecony przez dwóch turystów wysokogórskich, którzy uratowali jegomościa w dresie i takichże butach, oczywiście wysoko pod Rysami. Przypód pod Rysami ciąg dalszy. 29 czerwca., godz. 14. Dwoje turystów na skutek poślizgnięcia na śniegu spadli kilkaset metrów i uderzyli w skały poniżej płata śniegu doznając wielu obrażeń: urazy kręgosłupa, głowy, nóg, Cud, że przeżyli, niestety nie



Letni śnieg – przyczyna wielu groźnych wypadków

wykluczono trwałego kalectwa (paraliż) jednej z poszkodowanych osób. Kolejny wypadek pod Kozią Przełęczą, gdzie fatalnie zakończyła się rodzinna wyprawa w góry. Ojciec i syn polecili po stromym płacie śniegu. Skutek to uderzenie w skałę, złamana noga. Z powodu złych warunków ewakuacja odbyła się „na nogach”, ratownicy znosili poszkodowanych na Halę Gąsienicową. Już w lipcu, w niedzielę szóstego, zginął turysta pod Rysami, wskutek poślizgnięcia w rejonie grzędy i lotu w dół. Ciało zostało znalezione następnego dnia. Poniedziałek 7 lipca. Z Orlej Perci dochodzi sygnał. Do TOPR ok. godziny 20-tej (!) dzwoni turysta, który utknął w trudnym miejscu (rejon Buczynowej Turni) idąc z... pięciolatkiem. Poleciał po nich helikopter z ratownikami. Bez komentarza.

Co poza tym, wszak nie tylko jedne Rysy są w Tatrach. Jak wynika z relacji TOPR „popularny” wśród uczestników wypadków był rejon Koziej Przełęczy. Tu osobista dygresja. Pamiętam czerwcowe popołudnie, kiedy schodziłem z Zadniego Granata do Koziej Dolinki. Pod nogami śnieg, wokół mgła. Nagle od strony Koziego Wiechu łomot kamieni, potem wołanie o pomoc. Za chwilę kolejny łomot i ponowne wołanie. Okazało się, że właśnie para schodząca z Koziej poleciała po kamienno – śniegowym mikście. Rozmarzający śnieg wiążący rano kamienie uwolnił je pod wpływem słońca. Luźny piarg na śliskim podłożu, stromy stok i kilka nieostrożnych kroków wystarczyło, żeby delikwenci przejechali się po zboczach razem z kamieniami. Skończyło się na podartym ubraniu, zwichnięciach i przerażeniu. Ratownicy z Murowańca przytargali poszkodowanych do schroniska. „Turyści” (znowu cudzościców) obuci byli w „adidasy” i odziani w krótkie spodenki. Widziałem tylko, że mieli dość szpetnie pokaleczone i posiniaczone nogi. Gdy zeszliśmy z Granata akurat zajmowali się już nimi przygodni turyści, po chwili zjawili się ratownicy.

Zatem nie tylko Rysy i Kozia Przełęcz, nie brakło wypadków i interwencji w innych rejonach Tatr. Rejon Szpiglasowej Przełęczy i Doliny Pięciu Stawów, Dolina Białego, Skupniowy Uplaz... Zwichnięcia, zasłabnięcia, bolesne upadki, urazy głównie stawu skokowego. W większości przypadków ratownicy zwracali uwagę na niewłaściwe obuwie oraz brak wyposażenia niezbędnego przy poruszaniu się w warunkach zimowych.

Patrząc na to, co pokazują toprowskie kamery wydaje się, że lato w pełni i nic, tylko chodzić, wspinać się, wędrować. Oczywiście tak, tylko trzeba wiedzieć dokąd się idzie, czytać komunikaty TOPR, nie lekceważyć ich. Przecież TOPR informuje i ostrzega, sugeruje używanie raków i czekanów. Dzisiaj nie trzeba nawet mieć własnego sprzętu, można wypożyczyć w Zakopanem, jeśli pomysł wypadu na Rysy, czy Orlą Percę przyjdzie nagle do głowy. No, ale kto by nosił to żelastwo latem? Toż to obciach. Ano wcale nie. Można na Orlej Perci spotkać kilku – kilkunastometrowy fragment szlaku „zaprany” twardym śniegiem. Lepiej nie lenić się i na te parę metrów założyć raki, by bezpiecznie przejść niż trafić do rubryki „odeszli na zawsze”. Wracając do Rysów. Niewinnie wyglądające z daleka „pasemko” śniegu to w rzeczywistości kilkusetmetrowa śnieżna rynna, obok spore pola twardego śniegu. Po czymś takim trzeba umieć chodzić, i to w rakach. Śnieg latem to dodatkowa atrakcja, fajnie się po czymś takim zjeżdża na butach pod warunkiem, że spadek jest niewielki, śnieg nie jest zbyt twardy i śnieżne pole nie kończy się nad przepaścią. W każdym innym przypadku zjazd, a właściwie lot kończy się poważnymi urazami, kalectwem a nawet śmiercią. Straszę? Nie, tylko kolejny raz przestrzegam, zwracam uwagę. Bądźmy mądrzejsi od tych, o których piszą w kronikach wypadków.

Juliusz Wystouch



Na letnim śniegu łatwo się zsunąć bez raków

Nie dla zwolenników teorii kreacjonizmu!

Motywy zwierzęce, jak i same zwierzęta, nawet te najmniej sympatyczne, zawsze wywołują ciepłe uczucia. Nieprzypadkowo, zazwyczaj zantropomorfizowane, są głównymi bohaterami bajek dla dzieci. A i dorośli z chęcią obejrzą programy przyrodnicze. Lecz nie o postaciach bajkowych lub nierealnych dzisiaj będzie mowa, lecz o jakże nam bliskich krewniakach (dzieli nas od nich zaledwie 3% genów!), żyjących w Lesie Bwindi w Ugandzie. Wyprawa do samego Lasu i wędrówka (czy niekiedy wspinaczka po nim) to temat na osobną opowieść. Faktem jest, o czym mogę osobiście zaświadczyć, że osobniki te faktycznie tam żyją i mają się dobrze. Dzięki wykupionym pozwoleniom na wejście do Lasu i wiedzy przewodników już po godzinie udało się „nam” wytropić jedną z gorylich rodzin i przebywać z nią aż pełną kolejną godzinę.

Wymogi wejścia i przebywania z gorylami żyjącymi dziko wszak na wolności są ze względu na ich bezpieczeństwo bardzo rygorystyczne. I tak, by nie być głośnym, tytułem przykładu wskażę, że trzeba być zdrowym w 100% (groźba infekcji dla odwiedzanych – nie odwiedzających!), maksymalny czas przebywania wśród nich, z zachowaniem dystansu do 5 m, to jedna godzina, oraz bardzo niewielkie limity osobowe (grupy do ośmiu osób) i tylko kilka dziennie. Zalecane jest także unikanie kontaktu wzrokowego, lecz nie po to, by nie zakochać się od pierwszego wejrzenia, lecz dlatego, by nie zostało to uznane za zaczepkę (podobnie z zakazem naśladowania ich odgłosów). Nie aż tak rygorystyczni są lokalni artyści.

Poza granicami Parku Narodowego Bwindi Impenetrable goryle postaci, obrazki z nimi, no i oczywiście maski, można kupić dosłownie wszędzie. Nierzadko są to wcale atrakcyjne wytwory rękodzieła ze szlachetniejszych gatunków drewna. Nic więc dziwnego, że i goryla maska i z tej wyprawy zasilila moje zbiory.

Sobiesław Mazurski



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Ciocia Frieda (2)

I znów dziadek musiał do hrabiego iść na rozmowę. Drżąc – trochę ze strachu przed hrabią, trochę przed żoną, udał się ponownie do pałacu. Ale tym razem z twardym postanowieniem, że dopnie swego i pogada, że tak powiem jak mężczyzna z mężczyzną. Wyprostował się, zrobił odpowiednią minę, założył z powrotem czapkę i stanął przed hrabią. Jakimi słowami przekonał dziadek hrabiego, tego cioci Friedzie nie przekazano, ale jedno jest pewne – udało się. Hrabia powiedział, że można spróbować, że się zobaczy. A dziadek wrócił do babki i córki z podniesioną głową, a potem była dodatkowa porcja pieczonych ziemniaków dla całej trójki. Babka i młoda mama już się *trochu* zastanawiały, gdzie można by postawić małe łóżeczko i skąd by tu wziąć rzeczy dla dziecka, żeby dużo nie kosztowały. Ale od tego byli sąsiedzi i znajomi, którzy przecież mogli pomóc. Było takie śląskie powiedzenie, które babka mówiła śmiejąc się cicho: „*Schickt der Herr a Häsele, dann schickt er auch a Gräsle*” (*Ześle Pan zajączka, to zesle i trawkę*).

A zajączek urodził się 29 maja 1908 r. i stał się później naszą ciocią Friedą. Mała Frieda dobrze miała u dziadków, którzy bardzo ją kochali. A nie przelewało się w domku przy bramie wjazdowej do dominium. Ale mieli za co się utrzymać, a mała Frieda miała dziadków i mamę, która ją od czasu do czasu przyjeżdżała odwiedzić z Wrocławia. Na stoliku nocnym cioci Friedy stało przez te wszystkie późniejsze lata w ramce takie małe zdjęcie dziadków siedzących na ławce. Obrazek z czasów jak z książkowych bajek, z całym bajkowym cierpieniem i całą bajkową radością. Ale jednak nie był z bajki, bo ciocię Friedę, która to wszystko przeżyła, widziałam zawsze żywą przed sobą. Ale Kopciuszek o imieniu Frieda nie został królową w pałacu, lecz stał się błogosławieństwem dla wielu ludzi. I może to jest właśnie najlepsza wersja bajki z prawdziwego życia.

Sułowskie dzieci dominium tworzyły specyficzną grupę, inną od tzw. dzieci miejskich. Chodziły nawet do innej szkoły, do jednoklasowej szkoły wiejskiej w sąsiednich Miłosławicach – każdego dnia kilka kilometrów na pieszo w tę i z powrotem. Dlaczego nie wolno im było chodzić z innymi wiejskimi dziećmi do szkoły w Sułowie, o to, niestety, nie zapytałam cioci Friedy. Zimą kiepskie obuwie tych dzieci było mokre i zimne, zanim jeszcze w ogóle doszły do szkoły. Ale któregoś dnia dobrotliwa hrabina – matka zafundowała dzieciom filcowe pantofle, które dzieci zostawiały w szkole i tylko tam je nosiły. Powodem zakupu były zbyt często zachorowania wśród uczniów. Cioci Friedzie nauka w szkole nie przychodziła zbyt łatwo, dlatego nie raz musiała wytrzymać uderzenia kijkiem po rękach wymierzane przez nauczyciela. Ku mojemu zdziwieniu uważała to jednak za normalne.

Nu, Bettinalko, muszę powiedzieć, że nauka nie przychodziła mi tak łatwo jak wam. Ale śpiewać to ja zawsze umiała!

Opowiadała o tym wszystkim z lekko zawstydzonym chichotem, bez goryczy dziecka doświadczonego cierpieniem przez los. Nieee, gorycz była obcym słowem w życiu cioci Friedy. Smutek czasem można było wyczuć w jej głosie lub dostrzec w jej oczach, ale zgorzkniała nie była nigdy. Nawet wtedy, gdy opowiadała o Bożym Narodzeniu organizowanym w pałacu dla dzieci z dominium. Były wtedy prawdziwe podarki. Oprócz kilku pierniczków, dzieci dostawały coś praktycznego, np. chłopcy dostawali parę skarpet, a dziewczynki po fartuszkach. Mała Frieda była zawsze we wszystkim ostatnia, także przy rozdawaniu prezentów. Była przecież tym dzieckiem bez ojca, *ino takie biedactwo bez czci*. Ale jednak, Frieda też dostawała fartuszek, a babcia w Boże Narodzenie szczególnie okazywała jej, że była dzieckiem kochanym i upragnionym. Wtedy w małym domku przygotowywano cudowne święta, z tymi wszystkimi wspaniałymi zapachami, z kapustą kiszoną, sosem na piwie i karpim. O tak, też je znałam, ponieważ później i u nas w domu ciocia Frieda roztaczała te zapachy w wigilijny wieczór. I te bożonarodzeniowe zapachy przetrwały ciocię Friedę, towarzysząc mi przez wszystkie etapy mojego życia, aż po dzień dzisiejszy, gdy sama je wyczarowuję. Mała Frieda dostała w prezencie ładny, ciepły sweterek – zrobiony na drutach przez babcie. A dziadek zrobił jej sam mały wóz konny.

Twarz cioci Friedy jaśniała, kiedy tak opowiadała o swoim dzieciństwie. A ja, ja cieszyłam się razem z nią, choć czasem ogarniała mnie wielka złość za to, że ciocia zawsze we wszystkim była na końcu.

Paraliż cioci Friedy postępował z roku na rok coraz bardziej. Trzeba było się nią opiekować, a ona sama nie mogła już opiekować się innymi. Najpierw była pomocą mojej Mamy, później sama tej pomocy potrzebowała. Wyprowadziła się z domu mojej mamy do domu cioci Lulu i babci, z Kaiserwerth do Ratingen. Lata mijały, zmarła Babcia, później mieszkała tam też ciocia Dora. Po śmierci Mamy przeprowadziłam się z braćmi do naszych ciotek i tam spędziliśmy nasze ostatnie szkolne lata. I znów mieszkaliśmy pod jednym dachem z ciocią Friedą. Wózek inwalidzki cioci Friedy był przez dziesięciolecia nieodłącznym elementem wyposażenia domu naszych ciotek. Tak to wtedy było – wszystko jakoś zostało w powiększonej rodzinie, byliśmy zdani na siebie nawzajem. Ciocię Friedę też oczywiście w to włączając. Istota cioci Friedy polegała w końcu na tym by być – dla nas wszystkich. Jakie to było



Kościół Parafialny św. Ap. Piotra i Pawła w Sułowie

fajne! Zawsze była z nami, opowiadała albo kazała sobie opowiadać i śmiała się przy tym radośnie aż się trzęsły jej zgarbione plecy. Nigdy nie wtrącała się do żadnej rodzinnej kłótni, choć, z pewnością, w ciasnocie naszego mieszkania w Ratingen, musiała odczuć na własnej skórze wszelkie mniejsze lub większe spory. Myślę, że każdy z nas stał jakby pod jej ochronnym parasolem jej życzliwości niezależnie od tego, którą akurat braliśmy stronę. Zawsze tak to odczuwałam i było to kojące uczucie. Nie trzeba było „mieć racji”, żeby być lubianym przez ciocię Friedę. W późniejszych latach, gdy Hans i ja z córkami regularnie jeździliśmy do Sułowa, ciocia Frieda była już tylko zgarbioną starowinką, rzadko siedziała w wózku, zwykle już tylko leżała w łóżku wsparta o poduszki. I wtedy wołała nas do siebie, kiedy przyjeżdżaliśmy w odwiedzinach: *Nu, chodźcież bliżej i opowiedzcież trochu o Sułowie. Ja już tam nie pojedę. Ni szkodzi. Ale chętnie posłucham, jak wy mi poopowiadacie.*

A potem pokazywaliśmy jej zdjęcia. Nie, domku woźnicy już tam nie ma. Ale pałac stoi nadal i ten duży budynek gospodarczy naprzeciwko też.

A lipa, Bettinalko, lipa stoi? Wiesz, ta na prawo od bramy. Nie, nie od tej bramy, od tej drugiej...

Tak, rosną tam lipy, ale czy jest tam akurat ta lipa, o której myślała ciocia Frieda, tego nigdy nie byliśmy w stanie powiedzieć. Ciocia Frieda dożyła 79 lat. Połowa jej życia była ciężko naznaczona paraliżem. Pozostała w naszej rodzinie aż do swojej śmierci w 1987 r. Ciocia Dora długo, długo i bardzo troskliwie się nią opiekowała (Kochana ciocia Dora, świeć Panie nad jej duszą! Napiszę Ci Ciociu za to kiedyś osobną historię!). My, dzieci różnych rozgałęzień naszej rodziny, dorośliśmy i zabieraliśmy swoje dzieci w odwiedzinach do ciotek. Ciocia Frieda siedziała tam tak jak zawsze, a d z i e c i podchodziły do niej. Była takim niezawodnym punktem oparcia dla maluchów – nie taka duża i wyprostowana jak inni dorośli. Ciocia Frieda po prostu była – zawsze. Co za wspaniałe, kojące uczucie dla tylu dzieci z różnych pokoleń – dorosła osoba, który nie odchodziła, która nie była ciągle zaganiana, która, jak to sama określała, „nie robiła wiele z dziećmi”, ale czułym głosem mówiła proste rzeczy: *Nu, Bettinalko, jak tam było? Pokaż no, Monalko... Noo, tuś jest, Julianko... Nu, Eddi, przynieś mi swojego misia...*

Życzę mojej cioci Friedzie z całego serca, by jej prosta, radosna i pełna ufności wiara otworzyła jej niebo na całą wieczność, by mogła spoglądać na nas z góry i towarzyszyć nam swoją życzliwością i śląskim dialektem. Chciałabym, by mnie usłyszała, gdy wołam do niej głosem pełnym miłości:

Dziękuję, ciociu Friedo!

Pracze, grudzień 2013
Bettina Harnischfeger
Tłum. Marta Bednarz

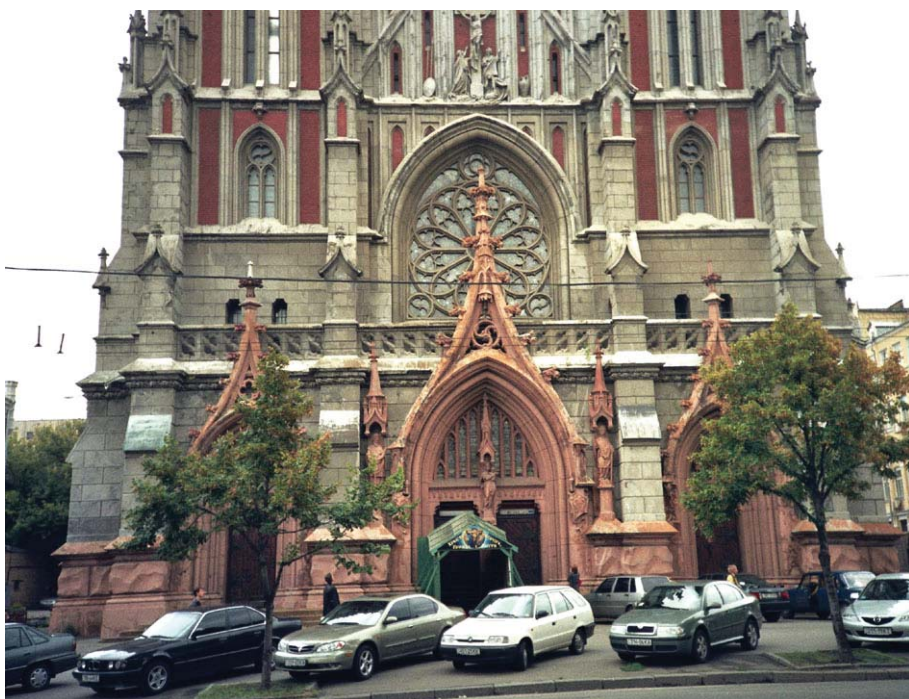
Architekt Horodecki (2)

W pierwszych latach XX w. nastąpił kryzys ekonomiczny, budownictwo upadło, zapotrzebowanie w Kijowie na prace architektów zmniejszyło się. Władysław Horodecki z konieczności zajął się realizacją drobnych zamówień. Były to przede wszystkim mauzolea i grobowce dla bogatych rodzin. Zaprojektował mauzoleum (1905) w stylu neoklasycyzmu na prawosławnym Cmentarzu Wydubickim dla Mikołaja Lelawskiego – naczelnika kijowskiego okręgu dróg wodnych. W luteranckiej części Cmentarza Bajkowego – w stylu neogotyckim, dla rodziny Witte. Na nowym Cmentarzu Bajkowym wznosił modernistyczne mauzoleum (1909) w kształcie monumentalnej kaplicy dla nieznanego dziś osoby. Na cmentarzu w Puszczy-Wodicy architekt postawił mauzoleum (1913) w stylu mauretańskim dla Włodzimierza Kozakiewicza – jednego z kierowników banku ziemiańskiego. Poza Kijowem wyróżnić warto ogromne mauzoleum-kaplicę we wsi Peczera, zaprojektowaną w stylu neoromańskim i zbudowaną w 1904 r. przez hrabiostwo Konstantego i Janinę Potockich. Stanowi ono jedną z najlepszych prac architektonicznych historyzmu tego autora. Obecnie po remoncie służy jako kościół rzymskokatolicki.

W. Horodecki realizował zamówienia bogatych ziemian, którzy przystosowując się do wymagań kapitalizmu budowali fabryki. I tak na przykład zaprojektował dla rodziny Bałaszowów cukrownię w Szpykowie niedaleko Żabokrycza. Dla nich też projektował inne budowle w różnych rodzinnych majątkach: wiejskie szpitale, winiarnie i stajnie, nadto modernistyczny budynek (1903) gimnazjum żeńskiego w Czerkasach, wzniesiony za środki władz miasta (budowla istnieje). Honorową patronką szkoły była Katarzyna Bałaszowa. W mieście tym był także autorem cerkwi. W Tułymie koło Żytomierza dla kijowskiego sędziego Aleksandra Dobrowolskiego wznosił neogotycki pałacyk (1904) z kwadratową wieżą (pozostały ruiny). Nawet na Krymie są ślady jego twórczości. W Symferopolu zbudował własne zakłady dwutlenku węgla i sztucznego lodu. W Eupatorii architekt postawił własną willę (1901), jednocześnie z budową „domu z chimerami” i chyba w związku ze wznoszeniem kenesy. W Eupatorii znajdowało się wówczas centrum religijne karaimów.

Po wielu latach starań rzymscy katolicy Kijowa, których było ponad 35 tys., uzyskali zezwolenie i plac pod budowę nowego kościoła przy Wielkiej Wasylkowskiej 75, bo stary kościół św. Aleksandra był już zbyt ciasny. Za najlepszy w konkursie szkicowy projekt uznano pracę Stanisława Wołowskiego, wówczas jeszcze studenta. Projekt roboczy wykonał W. Horodecki, korygując i uzupełniając projekt elementami według neogotyckiego wzorca, którym był kościół wotywny na Ringu w Wiedniu. Został też kierownikiem robót. Ze względu na charakter gruntu zastosował on pod fundamenty po raz pierwszy w Kijowie pale betonowe.

Sklepienia nad 17-metrową nawą wykonał z żelbetu sprężonego, co też było nowością. Szeroko wykorzystał beton w ozdobach świątyni. W kościele, wzniesionym na planie krzyża, zbudowano dwie wieże po 55 m na głównej fasadzie zachodniej i jedną małą nad transeptem, umieszczono wielką „różę” z witrażem nad głównym portalem i dwa portale boczne. W 1909 r. kościół został poświęcony. Otrzymał imię św. Mikołaja, a więc patrona panującego wówczas cara Mikołaja II. Od 1981 r. kościół służy jako dom muzyki organowej. Zamiast ołtarza ustawiono organy czeskiej produkcji, wykonano podłogę parkietową, w podziemiach umieszczono szatnie. Obecnie prócz koncertów



Kościół św. Mikołaja

odbywają się tu też nabożeństwa rzymskokatolickie. Dzięki prasie sława W. Horodeckiego dotarła i do Warszawy.

W. Horodecki był gorącym zwolennikiem postępu technicznego, stosował cement i beton sprężony. Zasiadał w różnych miejskich komisjach, które zajmowały się budownictwem w Kijowie. Jako jeden z pierwszych w mieście posiadał samochód. Latał pierwszymi samolotami. Odwiedzał mieszkającego wówczas w Kijowie Igora Sikorskiego – konstruktora pierwszych samolotów, późniejszego słynnego amerykańskiego twórcę doskonałych śmigłowców. Był wszechstronny: prócz projektowania budowli dekorował wnętrza (czego doskonałym przykładem może być „dom z chimerami”), był malarzem, rzeźbiarzem, grawerem i jubilerem, a nawet twórcą kostiumów dla teatru Sołowcowa i dla własnej żony. Jako aktywny członek Imperatorskiego Towarzystwa Prawidłowego Polowania wspomagał je nie tylko składkami i pożyczkami, ale darmowym wykonywaniem projektów (po raz drugi zaprojektował nowy pawilon w 1911 r.), czy darami w postaci trofeów myśliwskich ze swych ekspedycji. Polując odwiedzał dalekie zakątki ówczesnej Rosji. W 1895 r. był w guberni bakińskiej (dziś Azerbejdżan), w 1897 r. – w Kraju Zakaspijskim (dziś Turkmenistan) przy granicy z Persją, w 1899 r. – tamże, bliżej Afganistanu, w 1903 r. – na Ałtaju, w 1910 r. – w Siedmiorzeczcu (na południe od Jeziora Bałchasz, Kazachstan) i na Syberii Zachodniej.



Kościół św. Mikołaja – widok na ramię transeptu

Szczególną i wymarzoną podróżą była ekspedycja myśliwska do Afryki Środkowej przedsięwzięta wraz z dwoma kolegami z towarzystwa myśliwskiego: M. Rastrapowiczem i M. Rubinszteinem w listopadzie 1911 r. Myśliwi, z 74 walizami i skrzyniami, popłynęli z Neapolu statkiem „Kronprinz” przez Morze Czerwone do portu Kilindini. Stąd z karawaną, która liczyła 140 Afrykańczyków obsługi, udali się w góry Kenii. Tam, gdy doszli jeszcze tragarze, razem było 200 osób, i 1 grudnia safari rozpoczęło się w dolinach i przedgórzach Kilimandżaro. W książce „W dżunglach Afryki”, którą W. Horodecki wydał po powrocie do Kijowa w wydawnictwie Leona Idzikowskiego, pisał o upolowaniu żyrafy: „Stałem milcząc nad tym wielkim nieruchomym ciałem i zrobiło mi się żal zabitej żyrafy. (...) Poczucie zwycięzcy jest wielkie i przyjemne, ale poczucie zabójcy jest niskie i niegodne prawdziwego myśliwego!”. W swojej książce wspominał, że osobiście upolował 104 zwierzęta, w tym lwa i dwa nosorożce, a razem uczestnicy wyprawy ustrzelili 216 zwierząt, nie licząc ptactwa, płazów i ryb. Powrotną podróż w lutym 1912 r. z Mombasy do Neapolu odbył statkiem „General” leżąc w łóżku, chory na tropikalną malarię. Przywiózł wiele trofeów, które udekorowały jego dom, pawilon i muzeum myśliwskie. Teraz wśród myśliwych dorównywał już Józefowi Potockiemu, który chlubił się polowaniem w Afryce.

W. Horodecki był wyśmienitym strzelcem. Trafiał w szybkę podrzuconej butelki. Jeździł na międzynarodowe zawody strzeleckie, z których przywoził złote medale, wygrane strzelby i nagrody pieniężne. Uważano go za świetnego kynologa, znawcę psów myśliwskich. Polował także w okolicach Kijowa. Zbudował sobie na barce pływającą daczę „Safari”. Były w niej kajuty umeblowane według ostatniej mody, umywalki, kuchnia, werandy z parasolami, nawet biblioteka. Daczę ciągnęła łódź motorowa. Ale nadszedł 1914 rok, rozpoczęła się wojna, marynarz z łodzi poszedł do wojska. Pływający pawilon zaginął.

* * *

W 1920 r., gdy przez Kijów przetaczały się coraz to nowe wojska i miasto przechodziło z rąk do rąk, W. Horodecki, nie mając nadziei na odzyskanie swojego majątku ani nadziei na pracę, przeniósł się do Warszawy. Objął stanowisko architekta w Ministerstwie Robót Publicznych i piastował je do 1923 r. Wziął wówczas udział w restaurowaniu uszkodzonego w bojach pałacu Wiśniowieckich w Wiśniowcu na Tarnopolszczyźnie (XVIII w.). Po uzyskaniu przez rząd polski w 1924 r. amerykańskiego kredytu na rozbudowę infrastruktury miast powstało biuro do projektowania budowli i sieci

wodno-kanalizacyjnych. Na czele biura stanął W. Horodecki. Dzięki niemu w Piotrkowie wzniesiono wieżę ciśnień w stylu neorenesansowym i takąż halę targową. W Radomiu zbudowano wieżę ciśnień w formie renesansowo-barokowej i rzeźnię miejską złożoną z 25 hal. W Częstochowie też zbudowano wieżę ciśnień i rzeźnię. W Lublinie na 26 ha powstał kompleks zakładów mięsnych i budynek elektrowni miejskiej. Projekty tych budowli wykonała jego pracownia. Z drugiej amerykańskiej pożyczki z 1926 r. skorzystały Kielce, Sosnowiec i Dąbrowa Górnicza, budując wodociągi i kanalizację, Ostrów – elektrownię, Otwock – kasyno i Zgierz – łaźnię miejską. Te dwa ostatnie klasycystyczno-barokowe obiekty uważa się za najciekawsze prace architekta w Polsce.

* * *

W 1928 r. W. Horodecki otrzymał zaproszenie od amerykańskiej firmy, z którą dotychczas współpracował w Polsce, by budować w Iranie koleje za amerykańskie kredyty. Nowy szach Reza Pahlawi próbował europeizować swój kraj z pomocą amerykańskich pieniędzy. W. Horodecki objął stanowisko głównego architekta Syndykatu Kolei Perskich. Zaprojektował i zbudował monumentalny dworzec kolejowy w Teheranie, twórczo oddając ówczesne europejskie tendencje w budownictwie kolejowym. Zdobywszy uznanie za dworzec, otrzymał on inne zamówienia rządowe: na teatr, hotel w Teheranie i na rozbudowę niektórych miast. Zaprojektował także nowy pałac dla szacha Iranu w tradycyjnym stylu arabskim. Zastosował typowe dla tej architektury szerokie galerie, loggie, zwisające karnizy, drobno wypełnione okna, rzeźby w kamieniu, drewnie i gipsie, mozaikę i malowidła. Uzyskał efekt kolorowego pałacu z bajki.

W końcu 1929 r. architekt wyruszył na ostatnie swoje polowanie w góry Mazandaranu nad Morzem Kaspijskim. Po powrocie do Teheranu 3.01.1930 r. w 67 roku życia w wyniku zawału serca zmarł. Pochowany został pod dużym szarym, jak beton, kamieniem na cmentarzu katolickim w Teheranie. Po kilku dniach prasa warszawska opublikowała nekrologi i wspomnienia o wielkim architekcie, podróżniku i myśliwym. W czasopiśmie „Łowiec Polski” Adam Rzewuski pisał: „Niezapomnianej pamięci Władysław Horodecki był nie tylko dobrym porządnym Polakiem, wybitnym architektem, znawcą przyrody, dżentelmenem w pełnym sensie tego słowa, ale też pasjonatem myśliwcem, rzeczywiście „dawnego autoramentu”. (...) Wśród nas nigdy nie umrze pamięć o Tobie, jako o uczciwej myśliwskiej duszy, człowieku wysokiej uczciwości serca, rozumu i niezapomnianej anielskiej dobroci i łagodności. Śpij, odpoczywaj na dalekiej cudzej ziemi, miły nasz towarzyszu!”. Żoną była Kornelia Marr – córka kijowskiego przedsiębiorcy i kupca. Przeżyła męża o trzy dziesięciolecia. Córka Helena w 1945 r. przyjechała do Polski, ale wkrótce emigrowała do Szwajcarii.

* * *

W 1996 r. na wniosek przewodniczącego Związku Polaków na Ukrainie Stanisława Szałackiego kijowską ul. Karola Marksa (dawniej Mikołajewską) przemianowano na ul. Władysława Horodeckiego. Staraniem Stanisława Kosteckiego, następnego przewodniczącego tegoż związku, 29.05.2004 r., w Dniu Miasta Kijowa, w pasażu koło Chreszczatyku odsłonięto pomnik, na którym siedzący przy stoliku pan Władysław zaprasza przechodnia, by usiadł na drugim wolnym krześle. Autorem rzeźby jest W. Szczur, a fundatorem pomnika – ukraiński „Diamantbank”. Człowiek żyje swoimi dokonaniem. Władysław Horodecki będzie żył w pamięci Ukraińców, Polaków i Irańczyków, bo istnieją jego piękne i niezwykle budowle rozsiane w trzech krajach.

Janusz Fuksa

Uwaga autora: Pisząc artykuł korzystałem ze źródeł dostępnych w Kijowie, a zwłaszcza z fundamentalnej pracy Dmytra Małakowa „Architekt Horodecki – archiwni rozwidki”, w związku z tym kieruję doń słowa wdzięczności.



Im dalej w park, tym mniej drzew

Hala Stulecia ładnieje i rozbudowuje się, fontanna, parking itd. Zoo rozwija się, rozrasta, wzbo-
gaca. Wkrótce nowe rozwiązanie urbanistyczne między zoo, Halą Stulecia i parkiem Szczytnickim. A co z parkiem? Od wielu lat niemal co tydzień bywam w tym parku. Z przykrością stwierdzam, że powoli, acz systematycznie, park Szczytnicki traci swoją świetność. Wiem, że niezbędne są wycinki chorych i starych drzew, przświetlanie krzewów i inne radykalne zabiegi pielęgnacyjne. Więcej jednak drzew ubywa niż przybywa. Niestety, nowe nasadzenia nie rekompensują ubytków. Nie jest tajemnicą, że nie wszystkie nowe, młode rośliny przyjmą się, nie wszystkie doczekają swoich lat. Adrzewa rosą wolno!

Więc spodziewajmy się, a raczej niech spodziewają się nasze dzieci i wnuki, że za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat park będzie tylko „przerzedzonym” wspomnieniem po obecnym, ciągle jeszcze pięknym parku.

Pomiędzy tymi drzewami - stawy. Dziś to raczej bagniste bajora, zupełnie niepasujące do pięknego parku. Po spuszczeniu wody ujawniły się wieloletnie zaniedbania. Dno zasłane jest grubą warstwą liści, kamieni, gruzu i najróżniejszych śmieci. Kamienne umocnienia brzegów są mocno nadwreżone, a palisada je utrzymująca praktycznie nie istnieje. Nadmierna liczba roślin wodnych zmniejszyła lustro wody.

Problemów jest tyle, że szkoda czasu na opisanie ich długiej listy. Jak jest - każdy widzi. Mam nadzieję, że ta spuszczone ze stawów woda to początek naprawy, która wkrótce nastąpi. Nastąpi?

W ramach tej naprawy niech znajdzie się także drewniany mostek, którego projektant ułożył deski wzdłuż kierunku przechodzenia. Mocno wygięty łuk konstrukcji jest niebezpieczny, zwłaszcza gdy deski są mokre, ośnieżone lub oblodzone. Pomysł na wiecznie śliski mostek wart wpisu do księgi Guinnessa.

Ale park to nie tylko rośliny, woda i mostki. To także ścieżki, którymi chadzamy. Spokój i relaks? Nie, niestety, zamiast miłego spaceru kluczymy pomiędzy dziurami, kałużami i wystającymi, sporymi kawałkami gruzu. Wiele lat temu ścieżki zostały wykonane z gruzu, którego w powojennym Wrocławiu nie brakowało, i z żużlu. Dziesięciolecia upłynęły, gruzu nie zastąpiono czymś bardziej sensownym, a żużel brudzi i truje jak dawniej.

Mój pies, który w nazwie rasy ma przymiotnik „biały”, wraca z tego parku szary. Moje wspomnienia o parku sprzed lat są dużo miłsze niż dzisiejszy jego stan. Kryzysy przemijają, więc pewnie i koniec tego kryzysu nastąpi!

Nastąpi?



Hala Stulecia we wrocławskim Parku Szczytnickim. Fot. Andrzej Rumiński

Piotr Mikołajczak

Damsko-męski przewodnik po Wrocławiu

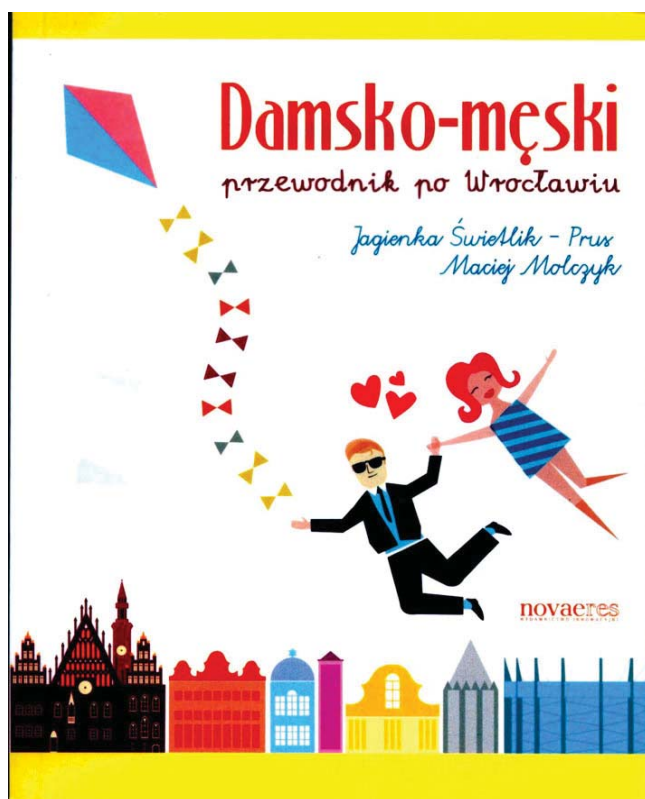
W 2013 r. ukazała się ciekawa, oryginalna i napisana z humorem książka. Jej autorzy to – przewodnicy po Wrocławiu, piloci wycieczek - ekonomistka i historyk. Na świat przyszli w szalonych latach 70. i 80., gdzieś między startem radzieckiej sondy kosmicznej Mars 2 a pierwszym przyznaniem nagrody Złotej Maliny. On wrocławianin z urodzenia, ona z wyboru. Oboje postanowili zderzyć swoje temperamenty i wykorzystać wybuchową mieszankę charakterów do opisanego swojego miasta. Choć często piszą o tym samym, często widzą to zupełnie inaczej (informacja na przedostatniej stronie okładki). Autorami kolorowych zdjęć są Wojciech Dziadosz, Izabela Ganske Monejer, Julia Prus, Ziemowit Urbaniak i Jacek Zurychta.

Spis treści zawiera:

- 9 – Zamiast wstępu, którego i tak nikt nie czyta
- 11 – Legenda
- 13 – Ostrów Tumski – miejsce pełne miłości
- 37 – Stare Miasto – serce Wrocławia
- 95 – Wzdłuż fosy – od zakupów do romantycznego szaleństwa
- 139 – Dzielnica Tolerancji – religie i clubbing
- 175 – Wielka Wyspa – miejsce wielkich emocji
- 213 – Odra – czyli aktywnie, technicznie i romantycznie
- 261 – Informacje praktyczne

Jagienka Świetlik-Prus, Maciej Molczyk: *Damsko-męski przewodnik po Wrocławiu*. Gdynia: Novae Res – Wydawnictwo Innowacyjne 2013.

Andrzej Rumiński



Wędrujący Wielkopoleanie

W Nekielce 7 czerwca br. w poewangelickim kościele, należącym do Anny i Andrzeja Kareńskich-Tschurl, którzy organizują tutaj wystawy, koncerty i spotkania z ludźmi kultury, odbyła się uroczysta promocja kolejnej książki Mariusza Borowiaka. Staraniem Jerzego Osypiuka, prezesa Nekielskiego Stowarzyszenia Kulturalnego, przy wsparciu Karola Balickiego, burmistrza Miasta i Gminy Nekla, oraz dzięki hojności finansowej ludzi dobrej woli ukazała się kolejna ciekawa publikacja historyczna w ramach projektu „Z Wielkopolski w szeroki świat”.

Słownik jest pierwszym tego typu opracowaniem o charakterze encyklopedycznym w historiografii polskiej. W układzie alfabetycznym ukazane zostały biogramy 445 ludzi, którzy byli związani zawodowo z pracą na morzu (służyli w marynarce wojennej i handlowej pod biało-czerwoną banderą, pełnili obowiązki we flotach państw pod obcymi banderami lub byli rybakami), wzięli udział w licznych

peregrynacjach od najbliższych do najodleglejszych zakątków świata, dokonali odkryć geograficznych oraz wnieśli wkład do nauki i kultury kraju własnego lub miejsc, do których dotarli. Autor włożył bardzo wiele wysiłku i praca stanowi swego rodzaju zwieńczenie blisko trzydziestoletniego zbierania dokumentów i materiałów biograficznych.

Pod względem chronologicznym *Słownik* obejmuje okres od X wieku do czasów współczesnych. Składa się on ze wstępu i z części encyklopedycznej – biogramów. Każdy został podzielony na dwie części. Pierwszą stanowi nota biograficzna – właściwy życiorys, a drugą syntetyczny wykaz literatury odnoszącej się do danej postaci. Ten drugi element stanowi bardzo ważne uzupełnienie wiadomości zaprezentowanych w notce biograficznej i podnosi wartość merytoryczną słownika. Dzięki temu zabiegowi autor daje czytelnikowi bazę do uzupełnienia wiadomości o danej postaci i jej działaniu. Pracę wzbogacają zamieszczone przy biogramach fotografie okrętów i statków, na których służyli i pływali.

Praca ma wielkie walory poznawcze i edukacyjne. Z takim samym powodzeniem będzie służyła osobom, które profesjonalnie zajmują się problematyką morską i podróżami, jak i tym, którzy tylko przygodnie sięgną po omawiany słownik. Oprócz tego „bezimienne

dotychczas postaci znajdują swoje miejsce w historii”, co jest szczególnie ważne z punktu widzenia historii wielkopolskich małych ojczyzn. Ewentualne braki, subiektywny wybór biogramów dla czasów najnowszych, będą mogły być uzupełnione w kolejnym wydaniu tego słownika.

Słownik dotyczy całej Wielkopolski w jej ujęciu historycznym od XV wieku (w tym okresie obejmowała m.in. woj. poznańskie, kaliskie, sieradzkie, łęczyckie, brzesko-kujawskie i inowrocławskie), a także w odniesieniu do obecnych granic. Pomyślany został on jako leksykon, który został napisany językiem przystępnym i jest przeznaczony dla szerokiego kręgu czytelników. Szczególnie przydatny może być jako materiał pomocniczy w nauczaniu historii i wiedzy o społeczeństwie, przeznaczony dla znawców tematu i oczywiście dla rodzin bohaterów tego opracowania. Z tego względu wskazane jest, aby mógł znaleźć się w bibliotekach szkolnych i publicznych na terenie całej Wielkopolski. Zamieszczono biogramy tych osób, które przez swój pobyt na różnych kontynentach ze względu na działalność religijną lub misyjną, zamorskie podróże poselskie i handlowe, udział w wyprawach wojennych i badawczych, spełniając się w sztuce (literatura, malarstwo, rzeźba i muzyka) oraz w innych dziedzinach, wielokrotnie podkreślały swoje pochodzenie. To jednostki, które wyrosły ponad przeciętność, rozwijając na obczyźnie bogatą działalność, rozślawiły imię Polski i Wielkopolski. *Słownik* obejmuje wyłącznie osoby nieżyjące, których dokonania należą do przeszłości.

Prof. dr hab. Zbigniew Pilarczyk, kierownik Zakładu Historii Wojskowości Instytutu Historii i Prorektor ds. Studenckich UAM w Poznaniu, autor posłowia w *Słowniku* tak pisze:

Słowniki, podobnie jak encyklopedie są specyficznym typem pracy naukowej, która wymaga od autora ogromnego nakładu pracy przy bardzo specyficznej formie wypowiedzi. Hasło słownikowe jest z natury swojej zwarte, a jednocześnie wyczerpującą formą przekazu informacji, która jednak wymaga ogromnej wiedzy. Jeden z moich mistrzów, uczących mnie warsztatu historyka mawiał, że hasło słownikowe lub encyklopedyczne zawierające kilkaset znaków jest niejednokrotnie trudniejsze do napisania niż monografia mająca kilkaset stron – pracy jest tyle samo, ale efekt wizualny bardzo różny. I być może coś jest na rzeczy bowiem autor tej publikacji jest znany z tego, że jego dotychczasowe książki liczyły sobie po kilkaset stron każda. Tak więc autor podjął próbę sprawdzenia się w tak krótkiej formie jaką jest hasło słownikowe. (...) Jest zatem Słownik bardzo specyficznie opowiedzianą historią Wielkopolski i Wielkopolan i jestem przekonany, że efekt mrówczej pracy autora zostanie doceniony przez czytelników. Dzisiaj, gdy coraz bardziej jesteśmy zainteresowani



przeszłością swojej „małej ojczyzny”, takie teksty jak ten mają ogromną szansę powodzenia. (...) Jestem przekonany, że książka ta nie należy do tych, którą się przeczyta i odkłada w najodleglejszy fragment półki. Wręcz przeciwnie powinna ona nam towarzyszyć i być zawsze pod ręką.

W promocji udział wzięli potomkowie bohaterów *Słownika*, rozstrzygnięto konkursy: literacki i plastyczny, kierowane do młodzieży gimnazjalnej, nawiązujące do tematyki uroczystości; otwarto wystawę fotografii. Uroczystość uświetnił koncert Chóru Kameralnego „Dysonans” pod dyr. prof. dr hab. Magdaleny Wdowickiej-Mackiewicz.

Mariusz Borowiak: *Słownik biograficzny wielkopolskich emigrantów, podróżników i ludzi morza*. Nekla: Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne 2014, 259 s. ISBN 978-83-939660-0-4.

Jerzy Osypiuk

Utracone Sudety

Tomasz Rzczycki współpracuje z czasopismami (m.in. *Sudety*, *Odkrywca* i n.p.m.), jest także autorem kilku książek (*Góry Polski*, *Podziemne trasy turystyczne Polski*, *Zagadka Drogi Sudeckiej*). Właśnie ukazała się nowa jego praca.

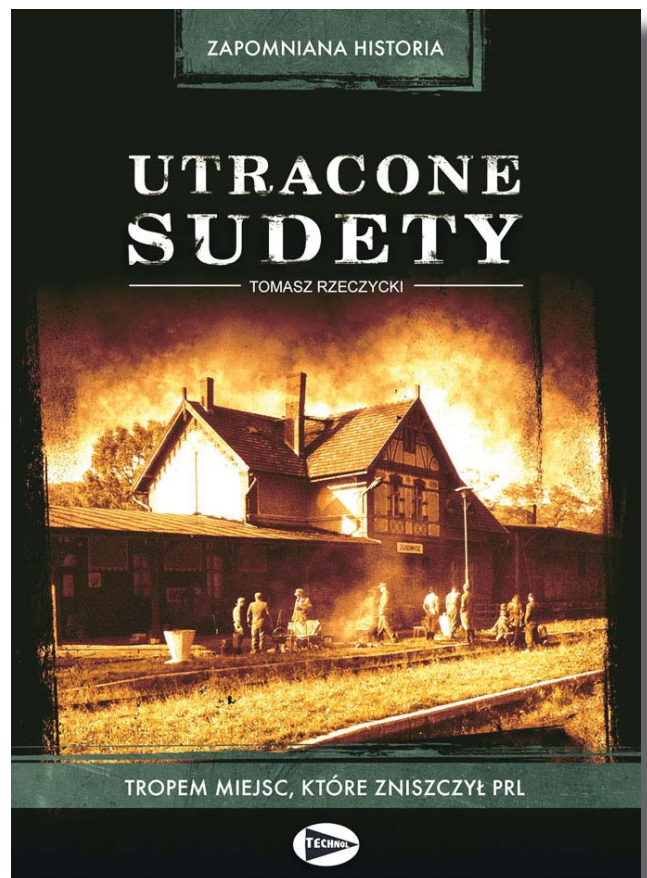
O czym jest ta książka? O miejscowościach, a nawet miastach, które zniszczono, rozkradziono bądź przekazano innemu państwu, bo okazały się niepotrzebne (Opolno-Zdrój, Skalno, Tkacze, Miedzianka, Okrzezyn) i w efekcie doszło w tych miejscach do znacznego regresu cywilizacyjnego (jeden wyjątek: Tkacze). O kuriozalnych i nieprzemysłanych do końca inwestycjach (wyciąg saniowy z Karpacza na Kopę, elektrownia Młoty) oraz o budowlach przejętych w niezłym stanie technicznym, które też bezpowrotnie zniszczono (drewniane obserwatorium na Śnieżce, wieża widokowa na Śnieżniku). To także linie kolejowe (opisano jedną z nich: Jugowice – Walim), kolej wisząca między kopalniami w Wałbrzychu oraz droga niedokończona przez Niemców i zupełnie zaniechana przez Polaków z Borowic na Przełęcz Karkonoską.

Polityka władz Polski Ludowej wobec Sudetów nasuwa skojarzenie z traktowaniem tych gór jako zamorskiej kolonii. To także wynik wielkiej po II wojnie światowej nienawiści do wszystkiego co niemieckie oraz faktu, że turystyka jako ważna część gospodarki, przynosząca ludziom pracę, nie była w ogóle brana pod uwagę. To zmieniło się dopiero ćwierć wieku temu. Czasem jednak dobre i przynoszące korzyść działania „oddolne” też unicestwiano, bo były „niepoprawne politycznie” (obóz organizacji YMCA przy Drodze Stu Zakrętów). Takie to były lata.

To bodaj pierwsza w Polsce publikacja o tym, co w Sudetach (ściślej: po ich polskiej stronie) utraciliśmy. Raj utracony? Aż tak to może nie, choć lektura książki przynosi bardzo smutne refleksje. Cóż, w naszej historii są takie przykre epizody. Nawet liczne, a nie wszystkie są powszechnie znane. I nie należy o nich milczeć, dobrze jest je poznać. Choćby po to, by samemu w przyszłości nie popełnić podobnych błędów.

Książka ma format A5, składa się z 13 rozdziałów. Jest w niej 206 ilustracji czarno-białych (fotografie, reprodukcje dawnych planów i artykułów prasowych), wszystkie dobrej jakości, a na końcu podano dla każdego rozdziału szczegółową bibliografię. Każdy bardziej dociekliwy czytelnik może i z niej skorzystać. Polecam!

Tomasz Rzczycki: *Utracone Sudety. Tropem miejsc, które zniszczył PRL*. Kraków: Wyd. Technol 2014, 336 str.



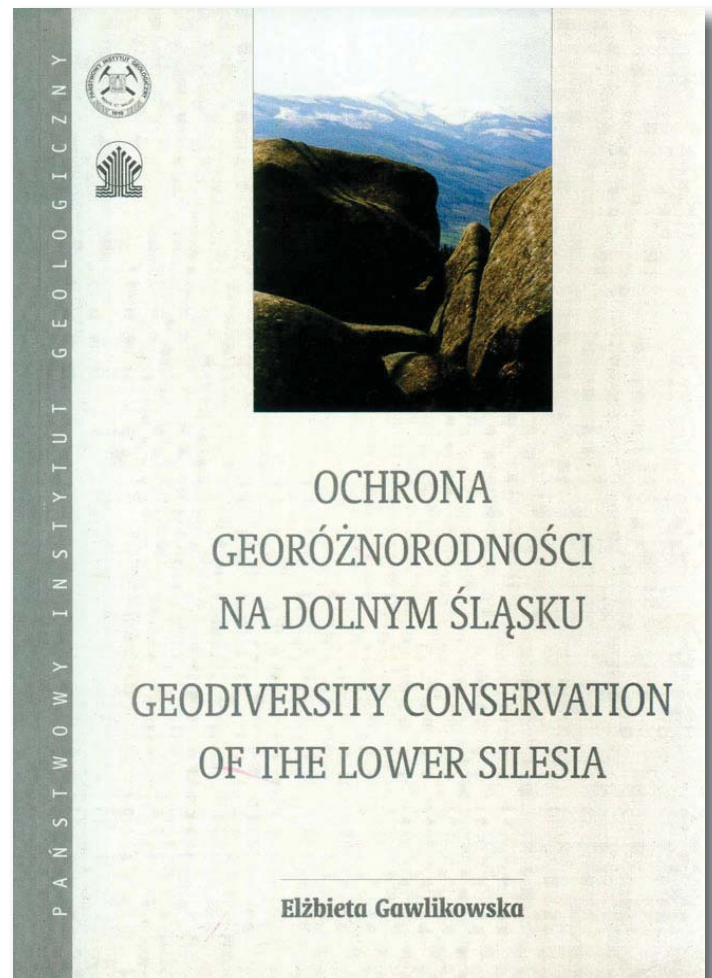
Witold Papierniak

Poznać dolnośląską georóżnorodność

Dolny Śląsk stanowi niezwykle interesujący teren dla miłośników przyrody, w tym ciągle zbyt mało znanej i poznawanej nieożywionej. Mamy na nim komplet utworów i formacji od najstarszych – prekambryjskich (ponad 500 mln lat), po polodowcowe i współczesne, antropogeniczne. To istny raj dla uprawiających geoturystykę. Im naprzeciw wyszło Ministerstwo Środowiska i Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska wydając swoisty katalog chronionych obszarów i obiektów przyrody nieożywionej (także planowanych). Po ogólnym wprowadzeniu, omawiającym położenie geograficzne i geologiczne opisane zostały poszczególne miejsca w układzie według form ochrony, a więc parki narodowe, krajobrazowe, rezerваты itd. Opisy są różnych rozmiarów, niekiedy dotyczą tylko daty ustanowienia ochrony, część z nich posiada barwne fotografie i rysunki ideowe. Lokalizację ich podaje w przyjętej numeracji przejrzysta mapa geologiczna w podziałce 1:300.000, stanowiąca osobny załącznik. Podano literaturę przedmiotu – w umiarkowanym wyborze, spisy stanowisk oraz wykaz muzeów i stałych ekspozycji geologicznych. Przy ciągłym braku przewodnika geologicznego po Sudetach – najciekawszych pod tym względem gór w naszym kraju (jedyne wyszedł w 1969 r.!), może się kiedyś go doczekamy, jest to pozycja bardzo ważna. Ale też nie do kupienia! Rodzi się pytanie: chwała dla inicjatorów i wydawcy, czemu jednak publiczne pieniądze są tak dziwnie wydawane? Bo pozycja dostępna jest li tylko w wąskim kręgu tych, którzy się o tym dowiedzą i mają „dojścia”.

Elżbieta Gawlikowska: *Ochrona georóżnorodności na Dolnym Śląsku. Geodiversity Conservation of the Lower Silesia*. Warszawa: Państwowy Instytut Geologiczny 2000, 72 s. + mapa.

K. R. M.



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**
Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**
Webmaster: **Piotr Dacko, Anna Zygmata**
Stale współpracują: **Juliusz Wysocki**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931